ELIZABETH STROUT

LAUREATKA NAGRODY PULITZERA
ZA „OLIVE KITTERIDGE"

MAM NA IMIĘ LUCY

WIELKA LITERA

Plik jest zabezpieczony znakiem wodnym

ELIZABETH STROUT

MAM NA IMIĘ LUCY

Z angielskiego przełożył
Bohdan Maliborski

WIELKA LITERA

Przyjaciółce, Kathy Chamberlain

Kiedyś, wiele lat temu, zdarzyło się, że musiałam pójść na dziewięć tygodni do szpitala. To było w Nowym Jorku. Z łóżka miałam bezpośredni widok na rozświetloną geometrię wieżowca Chryslera. Za dnia jego uroda przygasała. Przemieniał się z wolna w jeszcze jedną wysoką budowlę odcinającą się na tle błękitnego nieba. Wszystkie miejskie gmachy zdawały mi się odludne, milczące, dalekie. Minął maj, później czerwiec. Pamiętam, jak stałam przy oknie i wyglądałam na chodnik w dole, przypatrując się młodym kobietom – moim rówieśniczkom – w wiosennych strojach, korzystającym z przerwy na lunch. Widziałam, jak podczas rozmowy poruszają głowami i jak wiatr marszczy im bluzki. Myślałam o tym, że kiedy mnie wypiszą, już zawsze, chodząc tymi ulicami, będę dziękować za to, że jestem jedną z nich. Przez wiele lat rzeczywiście to robiłam. Przypominałam sobie widok ze szpitalnego okna i cieszyłam się z chodnika, po którym stąpałam.

Tak w ogóle to była prosta historia. Poszłam do szpitala na wycięcie wyrostka. Po dwóch dniach zaczęli dawać mi jedzenie, ale wszystko zwracałam. Później pojawiła się gorączka. Nikt nie

potrafił nazwać tej bakterii ani wyjaśnić, co jest ze mną nie tak. Nigdy im się nie udało. Podali mi kroplówkę z płynami i drugą, z antybiotykami. Zwisały z metalowych drążków na chybotliwych kółeczkach i wszędzie je za sobą ciągnęłam, jednak szybko się męczyłam. Na początku lipca kłopoty zdrowotne, które mnie dotknęły, nagle znikły. Do tego czasu znajdowałam się w bardzo dziwnym stanie – dosłownie gorączkowego wyczekiwania – i przeżywałam prawdziwe katusze. W domu czekał na mnie mąż i dwie małe córeczki. Za dziewczynkami okropnie tęskniłam i martwiłam się o nie tak bardzo, iż miałam wrażenie, że przez to czuję się jeszcze gorzej. Mojemu lekarzowi, do którego mocno się przywiązałam – Żyd z podwójnym podbródkiem noszący na swych barkach masę łagodnego smutku, jego dziadkowie i trzy ciotki, co wyznał w podsłuchanej przeze mnie rozmowie z pielęgniarką, zginęli w obozach, żonaty, czwórka dorosłych dzieci tu, w Nowym Jorku – otóż temu uroczemu człowiekowi widocznie zrobiło się mnie żal, bo sprawił, że moje córki, które miały pięć i sześć lat, mogły mnie odwiedzić, o ile nie były chore. Przyprowadziła je do mnie przyjaciółka rodziny. Kiedy zobaczyłam, jakie mają brudne buzie i włosy, zaciągnęłam je razem z moją kroplówką pod prysznic. „Mamusiu, jaka ty jesteś chuda!”, zawołały naprawdę przestraszone. Później usiadły ze mną na łóżku, a ja wytarłam im włosy ręcznikiem. Potem rysowały obrazki, ale były zatroskane, bo nie przerywały co chwilę, nie pytały i nie wołały: „Mamusiu, podoba ci się? Mamusiu, patrz, jaką suknię ma moja dobra wróżka!”. Prawie się nie odzywały, zwłaszcza młodsza miała z tym wyraźny kłopot. Gdy ją objęłam, zauważyłam, że wysunęła dolną wargę i że drży jej podbródek. Była taka maleńka i tak bardzo

próbowała być dzielna. Kiedy wyszły, nie wyjrzałam przez okno, żeby popatrzeć, jak idą z moją przyjaciółką, która je do mnie przyprowadziła i która nie miała własnych dzieci.

Mój mąż był oczywiście zajęty prowadzeniem domu i pracą i nie miał zbyt wielu okazji, żeby mnie odwiedzić. Kiedy przyszedł, wyznał mi, że nie znosi szpitali – miał czternaście lat, gdy jego ojciec umarł w jednym z nich – i teraz zrozumiałam dlaczego. W pierwszej sali, w której mnie umieszczono, na łóżku obok umierała jakaś staruszka. Wciąż wzywała pomocy. Uderzyło mnie, jak bardzo nieczułe są pielęgniarki, kiedy wołała do nich, że umiera. Mój mąż nie mógł tego znieść – to znaczy nie mógł znieść tych wizyt – i załatwił mi przeniesienie do jedynki. Ubezpieczenie nie pokrywało takich luksusów, więc każdy dzień przynosił uszczerbek naszym oszczędnościom. Byłam wdzięczna, że już nie muszę wysłuchiwać krzyków tamtej biednej kobiety, lecz gdyby ktoś wiedział, jak bardzo byłam samotna, czułabym się zażenowana. Za każdym razem, gdy pielęgniarka mierzyła mi temperaturę, starałam się zatrzymać ją na parę minut, ale one były zajęte i nie miały czasu na pogawędki.

Po trzech tygodniach pobytu w szpitalu któregoś późnego popołudnia oderwałam wzrok od okna i zobaczyłam moją matkę siedzącą na krześle w nogach łóżka.

– Mama?

– Cześć, Lucy.

Po głosie poznałam, że jest skrępowana, ale odczuwa potrzebę rozmowy. Pochyliła się i ścisnęła moją stopę przez prześcieradło.

– Cześć, Smutasku – powiedziała.

Nie widziałam jej od lat i wciąż się w nią wpatrywałam. Nie umiałabym powiedzieć, dlaczego wydaje się taka odmieniona.

– Mamo, jak tu dotarłaś? – spytałam.

– Samolotem.

Zafalowała palcami i już wiedziałam, że górę biorą emocje. Odpowiedziałam machnięciem ręki i padłam na wznak.

– Myślę, że wyzdrowiejesz – dorzuciła tym samym skrępowanym, a jednocześnie gorliwym tonem. – Nie miałam żadnych snów.

To, że przyjechała i użyła mojego czułego przydomka, którego nie słyszałam przez całe wieki, sprawiło, że zrobiło mi się ciepło i łzawo, jakby całe to moje spięcie było ciałem stałym, które teraz przemieniło się w ciecz. Zwykle budziłam się o północy, a później już tylko niespokojnie drzemałam lub wpatrywałam się przez okno w światła miasta. Tymczasem tamtej nocy spałam normalnie, a rankiem matka wciąż siedziała tam gdzie poprzedniego dnia.

– Nieważne – odpowiedziała, gdy ją o to spytałam. – Wiesz, że mało sypiam.

Pielęgniarki zaproponowały, że wstawią jej leżankę, ale potrząsnęła głową. Potrząsała nią za każdym razem, gdy pielęgniarka jej to proponowała. Po jakimś czasie przestały pytać. Matka przesiedziała przy mnie pięć nocy, sypiając wyłącznie na krześle.

Pierwszego dnia, który w całości spędziłyśmy razem, rozmawiałyśmy z przerwami. Pewnie żadna z nas nie wiedziała, jak ma się zachować. Matka zadała mi kilka pytań o dziewczynki, a ja odpowiedziałam rozpromieniona:

– Są niesamowite. Po prostu niesamowite.

O mojego męża matka nie spytała, choć jak wyznał mi przez telefon, to on do niej zadzwonił i poprosił, żeby ze mną pobyła, kupił jej bilet i zaproponował, że odbierze ją z lotniska. Mojej matce, która nigdy przedtem nie leciała samolotem. Mimo iż odpowiedziała, że przyjedzie taksówką, i choć nie chciała się z nim spotkać twarzą w twarz, mój mąż udzielił jej wskazówek i wyłożył pieniądze na podróż. Siedząc na krześle w nogach łóżka, matka nie wspomniała także o moim ojcu, więc i ja o nim nie mówiłam. Liczyłam, że powie: „Ojciec ma nadzieję, że wyzdrowiejesz", ale się nie doczekałam.

– Bałaś się złapać taksówkę, mamo?

Zawahała się, a ja wyobraziłam sobie przerażenie, jakie musiało ją ogarnąć, kiedy wysiadła z samolotu.

– Koniec języka za przewodnika – odpowiedziała.

– Naprawdę się cieszę, że tu jesteś – rzuciłam po chwili.

Uśmiechnęła się zdawkowo i spojrzała za okno.

Była połowa lat osiemdziesiątych, czasy sprzed telefonów komórkowych, więc kiedy zadzwonił beżowy telefon stojący obok łóżka, matka z miejsca się domyśliła, że to mój mąż, po żałosnym tonie, jakim go przywitałam, jakbym zaraz miała się rozpłakać. Po cichu wstała z krzesła i wyszła. W takich chwilach chodziła coś zjeść do bufetu, albo prędzej dzwoniła do mojego ojca z automatu w korytarzu, bo przy mnie nigdy nie jadła, a ojciec na pewno się zastanawiał, czy u niej wszystko w porządku. Kiedy już porozmawiałam z każdą z córek, całując po kilkanaście razy słuchawkę, opadłam na poduszki i zamknęłam oczy, matka po cichu wracała, bo gdy otwierałam oczy, znów siedziała na krześle.

Tamtego pierwszego dnia rozmawiałyśmy o moim bracie, najstarszym z trójki rodzeństwa, starym kawalerze, który mieszkał z moimi rodzicami, mimo że miał trzydzieści sześć lat, i o mojej starszej siostrze, trzydziestoczterolatce, która mieszkała dziesięć mil od domu rodziców, miała piątkę dzieci i męża. Spytałam, czy mój brat znalazł pracę.

– Nie pracuje – odparła matka. – Spędza noce ze zwierzakami, które nazajutrz zabijają.

Poprosiłam, żeby powtórzyła to, co przed chwilą powiedziała. Spełniła moją prośbę i dorzuciła:

– Chodzi do obory Pedersonów i zasypia przy świniach, które nazajutrz idą na rzeź.

Zdziwiło mnie to, co usłyszałam, i jej to powiedziałam, ale tylko wzruszyła ramionami.

Później rozmawiałyśmy o pielęgniarkach. Matka z miejsca nadała im przezwiska. „Ciasteczko" – takiej chudej i dziarskiej, „Zbolała" – stroskanej i starszej, a „Poważne Dziecko" – Indiance, którą obydwie polubiłyśmy.

Byłam zmęczona, więc matka zaczęła opowiadać mi historyjki o ludziach, których znała wiele lat temu. Mówiła o nich w sposób, którego nie pamiętałam, jakby przez lata dusiła w sobie emocje, słowa i spostrzeżenia. Wspominała ich lekko zachrypniętym głosem i bez skrępowania. Czasami zapadałam w drzemkę, a kiedy się budziłam, prosiłam ją, żeby kontynuowała te opowieści.

– Smutasku mój, musisz odpoczywać.

– Przecież odpoczywam! Mamo, proszę cię. Opowiedz mi coś. Cokolwiek. Opowiedz mi o Kathie Nicely. Zawsze uwielbiałam jej

nazwisko[*].

– A, tak. Kathie Nicely. Dobry Boże, marnie skończyła.

Dziwaczna była ta nasza rodzina, nawet jak na maleńkie, prowincjonalne Amgash w Illinois, gdzie były też inne zapuszczone i niepomalowane domy bez okiennic i ogródków, bez krzty piękna, na którym warto by zawiesić oko. Tamte jednak stały w grupie w miasteczku, a nasz nie. Mówi się, że dzieci przyjmują okoliczności, w jakich żyją, za normalność, ale ja i Vicky wiedziałyśmy, że jesteśmy inne. Dzieci mówiły nam na placu zabaw: „Wasza rodzina śmierdzi" i uciekały, zatykając nosy. W drugiej klasie nauczycielka powiedziała mojej siostrze – przy wszystkich uczniach – że bieda nie może być wymówką dla brudnych uszu, bo nikt nie jest aż tak biedny, żeby nie było go stać na mydło. Mój ojciec obsługiwał maszyny rolnicze, ale często go zwalniali, bo nie zgadzał się z szefem, a później znów zatrudniali, pewnie dlatego, że dobrze pracował i był im potrzebny. Mama zajęła się szyciem. Na ręcznie wymalowanym znaku wetkniętym w miejscu, gdzie długi podjazd do naszego domu krzyżował się z szosą, widniał napis: SZYCIE I PRZERÓBKI KRAWIECKIE. Mimo że ojciec, odmawiając modlitwę przed wieczornym posiłkiem, kazał nam dziękować Bogu za to, że nie brakuje nam

jedzenia, często bywałam głodna jak wilk, a na kolację był tylko chleb z melasą. Kara spotykała nas zawsze za marnowanie jedzenia i kłamstwo. Poza tym czasami bez ostrzeżenia rodzice – zwykle matka i zwykle w obecności ojca – bili nas odruchowo i mocno, czego niektórzy mogli się domyślać, widząc nasze sińce i ponure miny.

No i jeszcze odizolowanie.

Mieszkaliśmy w dolinie Sauk, gdzie można ruszyć przed siebie i dojrzeć najwyżej jeden albo dwa domy otoczone polami. Jak już wspomniałam, obok naszego nie stał żaden. Żyliśmy wśród ciągnących się po horyzont łanów kukurydzy i soi, a za horyzontem była świńska farma Pedersonów. Pośrodku pola kukurydzy rosło drzewo. Uderzała nas jego surowość. Przez wiele lat uważałam je za przyjaciela. Było moim przyjacielem. Nasz dom stał przy bardzo długiej polnej drodze nieopodal Rock River i kilku drzew chroniących pola kukurydzy przed wiatrem. Nie mieliśmy w pobliżu żadnych sąsiadów. Nie mieliśmy też telewizora, gazet, czasopism ani książek. Przez pierwszy rok po ślubie matka pracowała w bibliotece w miasteczku i najwyraźniej, o czym dowiedziałam się później od brata, uwielbiała książki. Nagle oświadczyli jej, że zmieniły się przepisy i mogą zatrudniać wyłącznie osoby z odpowiednim wykształceniem. Matka nigdy im nie uwierzyła. Przestała czytać i dopiero po wielu latach poszła do biblioteki w innym miasteczku i znów przyniosła do domu książki. Wspominam o tym, bo tak dzieci poznają świat i to, jak należy się w nim zachowywać.

Na przykład skąd można się dowiedzieć, że niegrzecznie jest pytać bezdzietną parę o to, dlaczego nie ma dzieci? Albo jak

nakrywać do stołu? Skąd masz wiedzieć, że nie przeżuwa się z otwartą buzią, skoro nikt ci o tym nie powiedział? Skąd masz wiedzieć choćby, jak wyglądasz, skoro w domu jest tylko jedno małe lustro, które w dodatku wisi nad zlewem w kuchni? Jak masz się czuć, skoro nikt ci nigdy nie powiedział, że jesteś ładna, a kiedy rosną ci piersi, matka mówi, że zaczynasz wyglądać jak krowa z obory Pedersonów?

Do dziś nie wiem, jak Vicky sobie z tym poradziła. Nie byłyśmy tak zżyte, jak można by się było spodziewać. Tak samo nie miałyśmy przyjaciółek i tak samo nami gardzono; spoglądałyśmy na siebie równie podejrzliwie jak na resztę świata. Teraz zdarza się – a przecież moje życie całkiem się odmieniło – że sięgam wstecz do tamtych lat i myślę sobie, że nie było aż tak źle. Może i nie było. Ale zdarza się też, że gdy idę po zalanym słońcem chodniku, spoglądam na rozkołysaną na wietrze koronę drzewa lub wpatruję się w niskie listopadowe niebo nad East River, nieoczekiwanie wypełnia mnie mrok tak wielki, że z moich ust mógłby wyrwać się jakiś dźwięk. Wchodzę do najbliższego sklepu z ubraniami i rozmawiam z obcą osobą o nowym fasonie swetrów. Zapewne w taki sposób większość z nas lawiruje w tym świecie, na wpół świadomie, nawiedzana przez wspomnienia, które przecież nie mogą być prawdziwe. Kiedy patrzę, jak inni pewnie kroczą chodnikiem, jakby byli całkowicie wolni od grozy, dociera do mnie, że nie wiem, jacy są. Tak wiele w życiu wydaje się domysłem.

– Prawda o Kathie... – zaczęła moja matka. – Prawda o Kathie była taka...

Zgięła się na krześle i odchyliła głowę, podpierając dłonią podbródek. Coraz wyraźniej dostrzegałam, że przez te lata, kiedy się nie widziałyśmy, przytyła dokładnie tyle, by jej rysy stały się łagodniejsze; oprawki okularów już nie były czarne, tylko beżowe, a włosy okalające twarz pojaśniały, ale nie posiwiały, zatem wydawała się tylko nieco większą, pulchniejszą wersją dawnej siebie.

– Prawda o Kathie jest taka, że była miłą dziewczyną – powiedziałam.

– Nie wiem – odpowiedziała moja matka. – Nie wiem, czy była miła.

Przeszkodziła nam Ciasteczko, która weszła do sali z podkładką do pisania z klipsem, uniosła moją rękę i zmierzyła tętno, wpatrzona błękitnymi oczami przed siebie, gdzieś w dal. Zmierzyła mi też temperaturę, zerknęła na termometr, zapisała coś w karcie i wyszła. Matka, która ją obserwowała, spojrzała za okno.

– Kathie Nicely zawsze chciała więcej. Podejrzewałam, że przyjaźni się ze mną wyłącznie dlatego, że... Chociaż nie wiem, czy na pewno można było nazwać nas przyjaciółkami, bo tylko szyłam dla niej ubrania, za które mi płaciła... Często myślałam, że zostaje dłużej i ze mną rozmawia... Ale kiedy zaczęły się jej kłopoty, rzeczywiście zapraszała mnie do siebie... Chcę po prostu powiedzieć, że zawsze podejrzewałam, że mnie l u b i , bo byłam dużo niżej od niej. Nie mogła mi niczego zazdrościć. Kathie zawsze pragnęła tego, czego nie miała. Miała piękne córki, ale to było za mało, chciała mieć syna. Miała ładny dom w Hanston, ale nie dość ładny, chciała mieć dom bliżej miasta. Jakiego miasta? Taka właśnie była.

Mrużąc oczy, matka strzepnęła jakiś paproch z kolan i dorzuciła cicho:

– Była jedynaczką. Myślę, że to sporo tłumaczy. Jedynacy bywają bardzo samolubni.

Poczułam przypływ zimna i gorąca, jak zawsze, kiedy coś atakuje bez ostrzeżenia; mój mąż był jedynakiem i matka już dawno temu przepowiedziała, że taka „przypadłość", jak to określiła, musi prowadzić do egoizmu.

– Była zazdrosna – ciągnęła. – Oczywiście nie chodziło o mnie. Na przykład marzyła o podróżach. Za to jej mąż był zupełnie inny. Chciał, żeby była zadowolona, że siedzi w domu i żyją z jego pensji. Dobrze mu się powodziło, zarządzał farmą produkującą kukurydzę na paszę. Bardzo miło im się żyło, każdy by tak chciał. Jeździli na tańce do klubu! Ja nie byłam na zabawie, odkąd skończyłam ogólniak. Kathie przychodziła i zamawiała nową sukienkę tylko po to, żeby pojechać na tańce. Czasami przywoziła

córki, śliczne były i dobrze wychowane. Nie zapomnę, jak przyjechała z nimi pierwszy raz. Powiedziała: „Przedstawiam ci śliczne córki państwa Nicely". „Rzeczywiście, śliczne", odpowiedziałam, a ona na to: „Nazywają je tak tylko w szkole. Śliczne córki państwa Nicely".

Zaczęłam się zastanawiać, jak to jest być śliczną córką państwa Nicely.

– Ale pewnego razu usłyszałam, jak jedna szepcze do drugiej, że w naszym domu dziwnie pachnie – dodała wzburzona.

– Jak to dzieci, mamo – odpowiedziałam. – Im zawsze coś dziwnie pachnie.

Matka zdjęła okulary, chuchnęła na szkła i przetarła je rąbkiem spódniczki. Przemknęło mi przez głowę, jak bardzo naga stała się jej twarz; nie mogłam przestać się w nią wpatrywać.

– Aż tu pewnego dnia czasy się zmieniły. Ludzie myślą, że wszyscy poszaleli w latach sześćdziesiątych, ale to się stało dopiero w latach siedemdziesiątych.

Okulary wróciły na swoje miejsce. Wróciła na swoje miejsce twarz mojej matki.

– A może aż tyle czasu było potrzeba, żeby zmiany trafiły do tej naszej dziury – kontynuowała. – Któregoś dnia zjawiła się u mnie Kathie, cała rozchichotana i jakaś taka dziwna, dziewczęca. Ale wtedy już wyjechałaś do...

Matka uniosła rękę i pomachała palcami. Nie powiedziała „na uczelnię" ani „na studia", więc ja też nie wypowiedziałam tych słów.

– Najwyraźniej spodobał jej się ktoś, kogo właśnie poznała – ciągnęła matka. – Od razu się domyśliłam, chociaż nie

powiedziała tego wprost. Doznałam wizji, a dokładnie mówiąc, o b j a w i e n i a . Dotarło to do mnie, kiedy tak siedziałam i na nią patrzyłam. Pomyślałam wtedy: „Oho, Kathie ma kłopoty”.

– I tak było – przytaknęłam.

– Owszem.

Kathie Nicely zakochała się w nauczycielu jednej z córek – wszystkie trzy uczyły się już wtedy w liceum – i zaczęła potajemnie się z nim spotykać. Później oznajmiła mężowi, że musi pełniej się realizować i nie może tego robić usidlona w domu. Wyprowadziła się, zostawiła męża, córki i dom. Moja matka poznała szczegóły dopiero wtedy, gdy Kathie zadzwoniła do niej zapłakana. Pojechała do niej. Kathie wynajęła niewielki domek. Siedziała tam na wypełnionym grochem pufie, dużo chudsza niż przedtem. Wyznała mojej matce, że się zakochała, ale kiedy wyprowadziła się z domu, facet ją rzucił. Powiedział, że nie może dłużej tego ciągnąć. Doszedłszy do tego momentu, matka uniosła brwi, jakby chciała pokazać, że była to dla niej duża niespodzianka, ale nie niemiła.

– Jej mąż był wściekły. Czuł się poniżony i nie zgodził się, żeby wróciła.

Nie pozwolił jej wrócić do domu. Przez ponad dziesięć lat nawet się do niej nie odzywał. Kiedy ich najstarsza córka, Linda, wychodziła za mąż tuż po skończeniu ogólniaka, Kathie zaprosiła moich rodziców na ślub, bo – jak podejrzewała matka – nikt inny by się tam do niej nie odezwał.

– Linda tak się śpieszyła z tym ślubem – ciągnęła teraz już szybko moja matka. – Wszyscy myśleli, że jest w ciąży, ale później nie słyszałam, żeby urodziło się jakieś dziecko. Rozwiodła się po

roku i wyjechała bodajże do Beloit. Szukała bogatego męża i zdaje się, że znalazła.

Matka powiedziała, że na weselu Kathie fruwała tu i tam, straszliwie zdenerwowana.

– Aż przykro było na nią patrzeć. Rzecz jasna nie znaliśmy tam żywej duszy i oczywiście prawie wyszło na to, jakby nas wynajęła. Siedzieliśmy na krzesłach... Pamiętam, że na jednej ścianie... To było w tym niedorzecznym eleganckim klubie w Hanston... Wisiały w szklanych gablotach indiańskie strzały. Zastanawiałam się po co. Kogo one obchodzą? Kathie kogoś zagadnęła, a później od razu podeszła do nas. Nawet Linda, wystrojona w białą suknię... Kathie nie zamówiła jej u mnie, jej córka kupiła gotową... Nawet panna młoda prawie nie zwracała uwagi na swoją matkę. Kathie mieszkała w tym małym domku, parę mil od męża, teraz już byłego, przez niemal piętnaście lat całkiem sama. Córki stanęły po stronie ojca. Kiedy o tym myślę, dziwię się, że w ogóle zaprosili Kathie na to wesele. Jej mąż nie miał już potem innej.

– Powinien był się zgodzić, żeby wróciła – powiedziałam ze łzami w oczach.

– Pewnie uraziła jego dumę – wzruszyła ramionami matka.

– Teraz on jest sam i ona jest sama, a kiedyś umrą.

– To prawda.

Byłam tamtego dnia rozkojarzona, gdy tak rozmyślałam o Kathie Nicely, a matka siedziała obok łóżka. Przynajmniej tak to zapamiętałam. Wiem, że powiedziałam matce ze ściśniętym gardłem i piekącymi oczami, że mąż Kathie powinien był się zgodzić, żeby wróciła. Prawie na pewno powiedziałam:

– Będzie tego żałował, mówię ci.

Matka odparła:

– Podejrzewam, że to ona żałuje.

Ale może wcale tego nie powiedziała.

Dopóki nie skończyłam jedenastu lat, gnieździliśmy się w garażu. Należał do mojego stryjecznego dziadka, który mieszkał w stojącym obok domu. W garażu ledwie ciurkała zimna woda do zamontowanego naprędce zlewu. Za przybitą do ścian izolacją upchnięto wypełnienie przypominające różową watę cukrową, ale to była wata szklana, która – jak nas ostrzegano – może pokaleczyć. Dziwiło mnie to i często się w nią wpatrywałam, w ten śliczny róż, którego nie wolno mi było dotykać. Dziwiło mnie też, że nazywają to „szkłem". Teraz wydaje mi się to niesamowite, ile czasu potrzebowałam, żeby ułożyć to sobie w głowie, tę zagadkę ślicznego różu i groźnej waty szklanej, które na co dzień były tuż obok nas. Ja i moja siostra spałyśmy na płóciennych płachtach rozwieszonych jedna nad drugą na metalowych słupkach. Rodzice sypiali pod jedynym oknem z widokiem na bezkresne pola kukurydzy, a brat miał łóżko w przeciwległym kącie. Nocą wsłuchiwałam się w pomruki małej lodówki, która co rusz się włączała i wyłączała. Niekiedy przez okno wpadało światło księżyca, ale inne noce bywały bardzo ciemne. Zimą było tak chłodno, że często nie mogłam zasnąć. Czasami mama grzała

wodę na kuchence, wlewała ją do czerwonego gumowego termofora i wsuwała mi do łóżka.

Kiedy zmarł mój stryjeczny dziadek, przeprowadziliśmy się do jego domu, gdzie mieliśmy gorącą wodę i toaletę ze spłuczką, chociaż zimą było w nim bardzo zimno. Od zawsze nie cierpię chłodu. Istnieją takie detale, które determinują nasze decyzje. Rzadko umiemy je odnaleźć lub dokładnie wskazać, ale czasami wspominam, jak zostawałam dłużej w szkole, gdzie było ciepło, żeby nie marznąć. Woźny z wypisaną na twarzy dobrocią kiwał tylko głową i zawsze wpuszczał mnie do klasy, gdzie wciąż jeszcze bulgotały kaloryfery, żebym mogła odrobić tam lekcje. Często słyszałam niosące się słabym echem okrzyki cheerleaderek ćwiczących w sali gimnastycznej, odgłosy kozłującej piłki do koszykówki albo zespołu grającego w sali muzycznej, ale wolałam siedzieć sama w ciepłej klasie. To wtedy się przekonałam, że aby coś było zrobione, trzeba to po prostu zrobić. Nie wpadłabym na to, gdybym odrabiała lekcje w domu. A kiedy już były odrobione, czytałam je jeszcze raz, dopóki nie musiałam stamtąd wyjść.

Nasza szkoła podstawowa była za mała, żeby pomieścić bibliotekę, ale w salach lekcyjnych leżały książki, które mogliśmy zabierać do domu i czytać. W trzeciej klasie przeczytałam powieść, która sprawiła, że sama zamarzyłam o napisaniu książki. Opowiadała o dwóch dziewczynkach, które miały miłą mamę i wyjechały na lato do innego miasta. Były szczęśliwe. W tym nowym mieście poznały dziewczynkę o imieniu Tilly. Wydała im się dziwna i nieciekawa, bo była brudna i biedna. Nie były dla niej miłe, ale

ich miła mama kazała im dobrze ją traktować. Właśnie ją zapamiętałam z tej książki, tę Tilly.

Nauczycielka zauważyła, że uwielbiam czytać, i dawała mi książki, nawet takie dla dorosłych. Potem, w ogólniaku, też czytałam, kiedy już odrobiłam lekcje w tej ciepłej szkole. Książki dały mi różne rzeczy. I właśnie to chcę powiedzieć. Dzięki nim czułam się mniej samotna. Właśnie o to chodzi. Pomyślałam: będę pisać i ludzie nie będą się czuli tacy samotni! (Ale to była tajemnica. Nawet kiedy poznałam mojego męża, nie od razu mu powiedziałam. Nie umiałam traktować siebie serio. Tyle że właśnie traktowałam siebie serio. Traktowałam siebie – po cichu – bardzo serio! Wiedziałam, że j e s t e m pisarką, ale nie wiedziałam, jakie to będzie trudne. Choć to bez znaczenia, bo nikt tego nie wie z góry).

Dzięki godzinom spędzanym w ciepłej klasie, lekturom i świadomości, że jeśli starannie odrobisz pracę domową, ma ona sens, miałam doskonałe oceny. W ostatniej klasie liceum szkolna pedagog wezwała mnie do gabinetu i poinformowała, że uczelnia na przedmieściach Chicago zaprasza mnie na studia, pokrywając wszystkie wydatki. Rodzice nie wypowiadali się dużo na ten temat, pewnie przez wzgląd na moją siostrę i brata, którzy nie mieli celujących czy nawet dobrych ocen. Żadne z nich nie poszło na studia.

Ta sama pedagog zawiozła mnie do college'u w pewien niemożliwie upalny dzień. Pokochałam to miejsce bez namysłu, bez słów, bez tchu! Uczelnia wydała mi się ogromna, wszędzie jakieś budynki, olbrzymie jezioro, studenci w kółko wchodzący i wychodzący z sal. Byłam przerażona, ale jeszcze bardziej

podekscytowana. Szybko nauczyłam się naśladować ludzi i tuszować luki w wiedzy na temat kultury masowej, choć akurat to nie było takie proste.

Pamiętam jedno. Kiedy przyjechałam do domu na Święto Dziękczynienia, w nocy nie mogłam zasnąć, bo bałam się, że moje życie na uczelni to tylko sen. Bałam się, że po przebudzeniu znów utknę w tym domu i zostanę w nim na zawsze, a wydawało mi się to nie do zniesienia. Pomyślałam: nie, i powtarzałam to słowo w myślach tak długo, że w końcu zasnęłam.

Znalazłam pracę w pobliżu uniwersytetu i ubierałam się w sklepie z używaną odzieżą. Była połowa lat siedemdziesiątych i takie stroje były akceptowane, nawet jeśli ktoś nie był biedny. O ile mi wiadomo, nikt nie komentował moich ubrań, ale raz, jeszcze zanim poznałam mojego męża, zakochałam się w wykładowcy i miałam z nim przelotny romans. Był malarzem i podobały mi się jego prace, choć wiedziałam, że ich nie rozumiem, ale to j e g o kochałam, jego szorstkość, inteligencję, świadomość, że z pewnych rzeczy musi zrezygnować, jeśli ma mieć takie życie, jakie mu się marzy. Na przykład zrezygnował z dzieci. Piszę o tym tylko z jednego powodu. Był jedyną osobą z mojej młodości, która skomentowała mój ubiór; porównał mnie z wykładowczynią ze swojego wydziału, która w przeciwieństwie do mnie była tęga i chodziła w drogich ciuchach.

– W tobie jest więcej treści, ale Irene jest bardziej stylowa – powiedział.

– Przecież styl to treść – odparłam.

Wtedy jeszcze nie wiedziałam, że to prawda. Zapisałam to po prostu któregoś dnia podczas zajęć z Szekspira, bo tak powiedział

wykładowca i to stwierdzenie wydało mi się prawdziwe.

– W takim razie w Irene jest więcej treści – skomentował malarz.

Czułam się trochę zażenowana tym, że pomyślał, że nie mam stylu, bo ubrania, które nosiłam, to byłam ja. I nawet jeśli kupowałam je w sklepach ze starzyzną i nie były to zwykłe stroje, nie przyszło mi do głowy, że ktoś zwraca na to uwagę, chyba że ktoś bardzo płytki.

Innego dnia rzucił:

– Podoba ci się ta koszula? Kupiłem ją w Bloomingdale's, kiedy byłem w Nowym Jorku. Gdy ją wkładam, zawsze o tym pamiętam.

Znowu poczułam się zażenowana, bo uważał, że to ważne, a ja sądziłam, że jest głębszy i mądrzejszy; był malarzem! (Bardzo go kochałam). Był pierwszą osobą, jaką pamiętam, która zastanawiała się nad moim pochodzeniem społecznym – mimo że wtedy nawet brakowało mi słów, żeby tak to nazwać. Woził mnie po różnych dzielnicach i pytał: „Czy twój dom wygląda tak?". Domy, które mi pokazywał, nie przypominały żadnego z tych, jakie znałam. Nie były duże, ale w żadnym wypadku nie wyglądały jak garaż, w którym się wychowałam i o którym mu opowiedziałam. Nie były też podobne do domu mojego stryjecznego dziadka. Nie było mi przykro z powodu tego garażu, w każdym razie nie tak, jak jego zdaniem mogło, bo najwyraźniej myślał, że jest mi przykro. Mimo to kochałam go. Spytał, co jadaliśmy, kiedy byłam mała. Nie powiedziałam mu: „Zwykle chleb z melasą", tylko „Najczęściej fasolkę po bretońsku". „A co robiliście później? Siedzieliście i pierdzieliście?" Wtedy

zrozumiałam, że nie wyjdę za niego za mąż. Zabawne, że coś takiego może ci uświadomić coś dużo ważniejszego. Możesz zrezygnować z dzieci, o których zawsze marzyłaś, możesz znieść uwagi na temat swojej przeszłości albo ubrań, a nagle jedna drobna wypowiedź – i schodzi z ciebie całe powietrze.

Zaprzyjaźniłam się od tamtego czasu z wieloma kobietami i mężczyznami i wszyscy mówią to samo: zawsze ten jeden znaczący szczegół. Chodzi mi o to, że nie jest to przypadek jednej kobiety. Zdarza się to wielu ludziom, jeśli mają szczęście usłyszeć takie byle napomknięcie i zwrócą na nie uwagę.

Gdy sięgam pamięcią wstecz, wydaje mi się, że byłam bardzo dziwna, za głośno mówiłam, albo nie odzywałam się wcale, kiedy rozmowa dotyczyła kultury masowej; myślę, że reagowałam dziwnie na zwykłe poczucie humoru, którego nie znałam. Chyba w ogóle nie rozumiałam ironii i to zbijało ludzi z tropu. Kiedy poznałam mojego męża, Williama, ku swojemu zaskoczeniu poczułam, że on trochę mnie rozumie. Był asystentem mojego wykładowcy biologii na drugim roku i miał własny, bardzo oryginalny pogląd na świat. Pochodził z Massachusetts. Był synem niemieckiego jeńca wojennego, którego wysłali do Maine do pracy przy uprawie ziemniaków. Wygłodzony jak to jeniec, zdobył serce żony farmera i gdy po wojnie wrócił do Niemiec, myślał o niej i pisał listy, w których wyznawał, że jest zohydzony Niemcami i tym, co zrobili. Potem znów przyjechał do Maine i uciekł z żoną farmera do Massachusetts, gdzie kształcił się na inżyniera. Rzecz jasna ich małżeństwo słono kosztowało jego żonę. Mój mąż był blondynem i odziedziczył typowy niemiecki wygląd po swoim ojcu, którego widziałam na zdjęciach. Kiedy William

dorastał, jego ojciec często mówił po niemiecku, ale zmarł, gdy syn miał czternaście lat. Nie zachowała się żadna korespondencja między ojcem a matką Williama. Nie wiem, czy jego ojciec rzeczywiście czuł obrzydzenie do Niemiec. William uważał, że tak, więc ja przez wiele lat też w to wierzyłam.

Uciekając przed biedą panującą w domu owdowiałej matki, William wyjechał na studia na Środkowy Zachód, ale kiedy go poznałam, chciał jak najszybciej wrócić na Wschód. Najpierw jednak zamierzał poznać moich rodziców. Wpadł na pomysł, że razem pojedziemy do Amgash, powie im, że się pobierzemy, i osiądziemy w Nowym Jorku, gdzie już czekała na niego posada doktoranta na uniwersytecie. Przyznam, że nie przyszło mi do głowy, żeby się czegoś obawiać. Nie wiedziałam, że można coś odrzucać tak po prostu. Byłam zakochana, życie szło naprzód i wszystko wydawało mi się naturalne. Jechaliśmy przez pola soi i kukurydzy, był początek czerwca. Po jednej stronie rosła jaskrawozielona soja podkreślająca urodę łagodnych wzgórz, a po drugiej nawet niesięgająca kolan, jasnozielona kukurydza, która po kilku tygodniach ściemnieje. Jej listki, teraz jeszcze delikatne, wkrótce staną się mocniejsze. (Och, kukurydzo mej młodości, byłaś mi przyjaciółką! Biegłam bez końca między tymi szpalerami, jak tylko samotne dziecko latem biec potrafi, do samotnego drzewa pośrodku pola). Zapamiętałam, że kiedy tam jechaliśmy, niebo było szare, ale zdawało się, że się unosi – nie przejaśnia, tylko unosi. To było bardzo piękne, to wrażenie, że się unosi i robi się jaśniejsze, że w szarości pojawia się lekka nuta błękitu, a pełne korony drzew zielenią się liśćmi.

Pamiętam, co powiedział mój mąż. Nie spodziewał się, że mój dom będzie taki mały.

Nie zostaliśmy u rodziców na cały dzień. Ojciec miał na sobie roboczy drelich. Spojrzał na Williama i gdy uścisnęli sobie dłonie, dostrzegłam na jego twarzy potężny grymas, który często poprzedzał coś, co w dzieciństwie nazywałam po cichu „Tym Czymś", stan, kiedy ojciec bardzo się denerwował i przestawał nad sobą panować. Później nie spojrzał już na Williama, choć nie jestem tego pewna. William zaproponował, że zabierze moich rodziców, siostrę i brata na kolację do wybranej przez nich restauracji w miasteczku. Rozpłoniłam się jak słońce, kiedy to powiedział. Nigdy wcześniej nie byliśmy całą rodziną w restauracji.

– Twoje pieniądze na nic się tu nie przydadzą – odparł ojciec.

William popatrzył na mnie zmieszany, a ja tylko lekko skinęłam głową i mruknęłam, że powinniśmy już jechać. Matka podeszła do mnie, kiedy stałam sama koło samochodu, i powiedziała:

– Ojciec ma duży problem z Niemcami. Trzeba było nas uprzedzić.

– Uprzedzić?

– Ojciec walczył na wojnie i Niemcy próbowali go zabić. Poczuł się okropnie, jak tylko zobaczył Williama.

– Wiem, że tata był na wojnie, ale nigdy o tym nie opowiadał – zauważyłam.

– Jeśli chodzi o wojnę, jedni mężczyźni o tym mówią, a inni nie. Twój ojciec należy do tej drugiej grupy.

– Ale dlaczego?

– Bo nie wypada – odparła matka i dorzuciła: – Kto cię chował, na Boga?

Dopiero po wielu latach, bardzo wielu, dowiedziałam się od brata, że ojciec natknął się w jakimś niemieckim miasteczku na dwóch młodych mężczyzn i strzelił do nich od tyłu. Nie byli żołnierzami, nie byli ubrani jak żołnierze, a jednak ich zastrzelił, a kiedy obrócił jednego z nich na plecy, przekonał się, jaki był młodziutki. Brat wyjaśnił mi, że ojciec pewnie dostrzegł w Williamie starszą wersję tamtego chłopaka, młodego mężczyzny, który powraca, żeby go nękać i odebrać mu córkę. Ojciec zamordował dwóch niemieckich chłopców i na łożu śmierci wyznał mojemu bratu, że nie było dnia, by o nich nie myślał i nie zastanawiał się, czy w zamian nie powinien był sam odebrać sobie życia. Nie wiem, co jeszcze spotkało mojego ojca w czasie wojny, ale wiem, że uczestniczył w bitwie o Ardeny i o las Hürtgen, a to były dwa najgorsze miejsca podczas tej wojny.

Rodzina nie przyjechała na mój ślub ani nie przyjęła go do wiadomości, ale kiedy urodziłam pierwsze dziecko, zadzwoniłam z Nowego Jorku do rodziców. Matka powiedziała, że jej się to przyśniło, więc już wiedziała, że mam córkę. Nie znała tylko jej imienia, ale ucieszyła ją wiadomość, że ma na imię Christina. Później dzwoniłam do nich w urodziny, w święta i kiedy przyszła na świat moja druga córka, Becka. Rozmawialiśmy ze sobą uprzejmie, ale zawsze czułam, że ze skrępowaniem. Nie widziałam nikogo z bliskich, póki matka nie pojawiła się obok mojego łóżka w szpitalu, tam gdzie za oknem lśnił wieżowiec Chryslera.

Cicho spytałam matkę w ciemnościach, czy nie śpi.

– Nie śpię – odpowiedziała. Cicho.

Mimo że byłyśmy same w tej szpitalnej sali ze świecącym za oknem wieżowcem Chryslera, mówiłyśmy szeptem, jakbyśmy mogły zakłócić czyjś spokój.

– Jak myślisz, dlaczego facet, w którym zakochała się Kathie, nie został z nią, kiedy rzuciła męża? Przestraszył się?

– Nie wiem – odpowiedziała po chwili matka. – Według Kathie wyznał jej, że jest homo.

– Był gejem? – Przysiadłam i zobaczyłam ją obok łóżka. – Powiedział jej, że jest g e j e m ?

– Zdaje się, że tak to teraz nazywają. Wtedy mówiło się „homo". On powiedział „homo". Albo Kathie powiedziała. Nie wiem, które z nich. Ale on był homo.

– Mamo, nie rozśmieszaj mnie!

Usłyszałam, że ona też się roześmiała, choć powiedziała:

– Smutasku, naprawdę nie wiem, co cię tak śmieszy.

– Ty. – Ze śmiechu aż pociekły mi łzy. – Ta historia. Jest n i e s a m o w i t a !

Wciąż roześmiana – w ten sam zduszony i jednocześnie niepohamowany sposób, w jaki mówiła tamtego dnia – odpowiedziała:

– Nie wiem, co jest śmiesznego w porzuceniu męża dla geja, kiedy dowiadujesz się o tym po fakcie, a liczyłaś, że dostaniesz kompletnego mężczyznę.

– Wykończysz mnie, mamo. – Opadłam na poduszki.

Zamyślona dodała:

– Czasami myślę, że może wcale nie był homo, ale Kathie go wystraszyła, porzucając dla niego swoje dawne życie. Może tylko zmyślał.

Zastanowiłam się chwilę.

– Nie wiem, czy w tamtych czasach facet wymyśliłby coś takiego na swój temat.

– Chyba masz rację – przytaknęła matka. – Właściwie nic o nim nie wiem. Nie wiem, czy jeszcze tam jest, i w ogóle nic mi o nim nie wiadomo.

– Ale czy oni to robili?

– Nie mam pojęcia – odparła matka. – Skąd mam wiedzieć? Co robili? Czy mieli stosunek? Niby skąd miałabym to wiedzieć?

– Na pewno mieli stosunek – powiedziałam, bo uznałam, że śmiesznie to brzmi, a poza tym naprawdę tak uważałam. – Kobieta nie zostawia trzech córek i męża tylko dlatego, że się zadurzyła.

– Nie wiadomo.

– Dobra, nie wiadomo. – Po czym spytałam: – Mąż Kathie, pan Nicely, naprawdę nikogo później nie miał?

– Były mąż, bo w trymiga się z nią rozwiódł. Raczej nie. Nic na to nie wskazuje. Ale pewnie nigdy się tego nie dowiemy.

Może to ta ciemność, rozświetlona jedynie rysą bladego światła przenikającą pod drzwiami i wspaniałym wieżowcem Chryslera za oknem, pozwoliła nam rozmawiać jak nigdy przedtem.

– Ludzie – rzuciłam.

– Ludzie – powtórzyła matka.

Byłam taka szczęśliwa. Byłam szczęśliwa, że rozmawiam z nią w ten sposób!

W tamtych czasach – w połowie lat osiemdziesiątych, jak już wspomniałam – mieszkaliśmy z Williamem w niewielkim mieszkaniu nad rzeką w West Village. Bez windy, to naprawdę było coś, z dwójką małych dzieci, bez pralni w piwnicy, w dodatku jeszcze pies. Młodszą córkę, póki nie urosła, wkładałam do nosidełka na plecach; wyprowadzałam wtedy psa, schylając się ostrożnie, żeby zebrać kupę do plastikowej torebki, co nakazywał napis na tabliczkach: SPRZĄTNIJ PO SWOIM PSIE. Zawsze przy tym wołałam do starszej córki, żeby na nas zaczekała i nie przechodziła sama przez ulicę. „Stój!”

Miałam dwójkę przyjaciół i w jednym z nich, w Jeremym, byłam prawie zakochana. Mieszkał na najwyższym piętrze naszej kamienicy i miał prawie tyle lat co mój ojciec, choć nie do końca. Pochodził z Francji, z arystokracji, i wyrzekł się tego wszystkiego, żeby jako młody chłopak zacząć życie od nowa w Ameryce. „Najróżniejsi ludzie chcieli być wtedy w Nowym Jorku”, tłumaczył mi. „To było miasto, do którego się przyjeżdżało. Chyba nadal tak jest”. Będąc już w średnim wieku, Jeremy postanowił zostać psychoanalitykiem. Kiedy go poznałam, wciąż miał paru

pacjentów, ale nie chciał mi o tym opowiadać. Miał gabinet naprzeciwko The New School[**] i chodził tam trzy razy w tygodniu. Mijałam go na ulicy i na jego widok – był wysokim szczupłym brunetem o wrażliwej twarzy, w ciemnym garniturze – zawsze rosło mi serce. „Jeremy!", wołałam, a on się uśmiechał i szarmancko, staromodnie, z europejska uchylał kapelusza. Tak to postrzegałam.

Byłam w jego mieszkaniu tylko raz, kiedy zatrzasnęły mi się drzwi i z psem i dziećmi musiałam czekać na dozorcę. Jeremy spotkał mnie na schodach przy wejściu. Odchodziłam od zmysłów. Zaprosił nas do siebie. Kiedy weszliśmy do mieszkania, moje córki natychmiast się uspokoiły i były bardzo grzeczne, jakby wiedziały, że nigdy wcześniej nie było tam żadnych dzieci, bo faktycznie nigdy nie widziałam, żeby do Jeremy'ego przychodziły jakieś dzieci. Może jakiś mężczyzna albo dwóch, czasami kobieta. Mieszkanie było czyste i obszerne. Pod białą ścianą stał fioletowy irys w szklanym wazonie, na ścianach wisiały dzieła sztuki, które uświadomiły mi, jak wiele nas dzieli. Wspominam o tym, bo nie rozumiałam tej sztuki. Były to ciemne podłużne przedmioty, instalacje, abstrakcyjne, ale nie do końca. Wiedziałam tylko, że to symbole wyrafinowanego świata, do którego nigdy nie będę w stanie przeniknąć. Jeremy'ego krępowała nasza obecność, wyczuwałam to, ale był prawdziwym dżentelmenem i właśnie za to go kochałam.

Trzy rzeczy o Jeremym:

Stałam któregoś dnia na schodach przy wejściu i kiedy wyszedł, powiedziałam:

– Jeremy, czasami, gdy tu stoję, nie mogę uwierzyć, że naprawdę jestem w Nowym Jorku. Stoję tu i myślę sobie: „Kto by przypuszczał! Ja! Mieszkam w Nowym Jorku!".

I to jego spojrzenie – krótkie, bezwiedne – wyrażające prawdziwą odrazę. Wtedy jeszcze nie byłam świadoma rozmiaru obrzydzenia, jakie ludzie z miasta czują do prowincjuszy.

Druga rzecz o Jeremym:
Tuż po przeprowadzce do Nowego Jorku opublikowano moje pierwsze opowiadania, a po jakimś czasie następne. Któregoś dnia na schodach Chrissie oznajmiła Jeremy'emu:

– W gazecie jest opowiadanie mamy!

Jeremy obrócił się w moją stronę i głęboko spojrzał mi w oczy, aż musiałam odwrócić wzrok.

– Nie, nie... To tylko takie małe pisemko literackie – sprostowałam.

– Czyli jesteś pisarką, artystką – powiedział. – Wiem, pracuję z artystami. Chyba zawsze się domyślałem.

Pokręciłam głową. Przypomniał mi się mój malarz z uczelni, jego samoświadomość, zdolność do zrezygnowania z dzieci.

Jeremy przysiadł obok mnie na schodach.

– Artyści różnią się od innych ludzi.

– Wcale nie.

Moja twarz spłonęła rumieńcem. Zawsze różniłam się od innych i nie chciałam różnić się jeszcze bardziej!

– A jednak. – Poklepał mnie po kolanie. – Musisz być bezwzględna, Lucy.

Chrissie zaczęła podskakiwać.

– To smutna opowieść – powiedziała. – Jeszcze nie umiem czytać, to znaczy umiem tylko niektóre słowa, ale to smutna opowieść.

– Mogę przeczytać? – Jeremy skierował to pytanie do mnie.

Nie zgodziłam się.

Tłumaczyłam, że nie zniosę, jeśli mu się nie spodoba. Skinął głową i odpowiedział:

– Dobrze, drugi raz nie spytam. Ale przecież często rozmawiamy i nie wyobrażam sobie, żebyś mogła napisać coś, co mi się nie spodoba.

Dobrze zapamiętałam to słowo: „bezwzględna". On nie wydawał się bezwzględny i nie sądziłam, żebym ja była lub mogła być bezwzględna. Kochałam go. Był dobry.

Kazał mi być bezwzględną.

I jeszcze jedno o Jeremym:

Epidemia AIDS była czymś nowym. Na ulicach pojawili się wychudzeni i wyniszczeni mężczyźni. Od razu było widać, że dotknęła ich ta nagła, niemal biblijna plaga. Któregoś dnia, kiedy siedzieliśmy z Jeremym na schodach, powiedziałam coś zaskakującego. Gdy minęło nas dwóch takich mężczyzn, powiedziałam:

– Wiem, że to straszne, ale niemal im zazdroszczę. Mają siebie nawzajem, łączą ich prawdziwe więzy z tą społecznością.

Jeremy spojrzał na mnie z autentyczną dobrocią wypisaną na twarzy. Teraz wiem, że dostrzegł to, co mnie samej umknęło, że mimo pozornego spełnienia czuję się samotna. Samotny był pierwszy smak, jakiego w życiu zaznałam, który już tam pozostał, ukryty w szczelinach moich ust jako przypomnienie. Myślę, że Jeremy wtedy to dostrzegł. Ale zachował się uprzejmie. Powiedział tylko: „Tak", choć mógł z łatwością rzucić: „Zwariowałaś, oni umierają!". Ale tego nie powiedział, bo pojął tę moją samotność. Właśnie tak chcę myśleć. Tak myślę.

W jednym z butików z odzieżą, z których słynie Nowy Jork, przypominających galerie w Chelsea, natknęłam się na kobietę, która, jak się później okazało, wywarła na mnie duży wpływ, i choć tak do końca tego nie rozumiem, stała się powodem, żeby napisać tę książkę. Było to wiele lat temu, moje córki mogły mieć wtedy jedenaście i dwanaście lat. Gdy zobaczyłam ją w tym butiku, byłam pewna, że mnie nie zauważyła. Wyglądała jak słodka idiotka. Teraz rzadko widuje się już takie kobiety. Było jej z tym bardzo do twarzy. Tak na oko dobiegała pięćdziesiątki. Była atrakcyjna pod wieloma względami, miała styl. Jej włosy – kiedyś mówiło się o tym kolorze „popielaty" – były dobrze zrobione, to znaczy od razu wiedziałam, że nie farbowała ich sama farbą z tubki, a robiła to osoba przeszkolona w salonie fryzjerskim. Moją uwagę przyciągnęła jednak przede wszystkim jej twarz. Obserwowałam ją w lustrze, przymierzając czarny żakiet, aż w końcu powiedziałam:

– Myśli pani, że mi pasuje?

Była zaskoczona, jakby zupełnie się nie spodziewała, że ktoś spyta ją o opinię na temat stroju.

– Przepraszam, nie pracuję tutaj – odpowiedziała.

Odparłam, że wiem i po prostu ciekawi mnie jej zdanie. Dodałam, że podoba mi się, jak jest ubrana.

– Tak? Dziękuję. Tak, w porządku. – Pewnie widziała, jak obciągam klapy żakietu, o który ją spytałam. – Ładny. Będzie go pani nosić do tej spódniczki?

Zaczęłyśmy rozmawiać o spódniczce, o tym, czy mam w domu dłuższą, tak na wszelki wypadek, jak to określiła.

– Pewnie przydałyby się do tego szpilki, żeby trochę się podwyższyć.

Jest tak piękna jak jej twarz, pomyślałam, i kochałam Nowy Jork za ten dar bezustannych spotkań z ludźmi. Może dostrzegłam w niej też smutek. Bo właśnie to poczułam, kiedy wróciłam do domu i przemknęła mi przez głowę jej twarz. Było to coś, czego wcześniej nie zauważyłam, bo dużo się uśmiechała i dzięki temu jej twarz wydawała się promienna. Wyglądała na kobietę, w której wciąż zakochują się mężczyźni.

– Czym się pani zajmuje? – spytałam.

– Gdzie pracuję?

– Tak. Wygląda pani na osobę, która robi ciekawe rzeczy. Czy jest pani aktorką?

Odwiesiłam żakiet na wieszak. Nie stać mnie było na coś takiego.

– Nie – odpowiedziała, a później (przysięgam, że zauważyłam, jak się czerwieni) dodała: – Jestem tylko pisarką.

Jakby uznała, że może się przyznać, bo, wyczułam to, już wcześniej ją na tym nakryto. A może we własnym mniemaniu

była „tylko pisarką”. Spytałam, co pisze, i wtedy na pewno się zaczerwieniła, machnęła ręką i powiedziała:

– Powieści, beletrystykę, takie tam, nieważne.

Musiałam spytać ją o nazwisko i znów poczułam, że bardzo się zawstydziła. Odpowiedziała jednym tchem:

– Sarah Payne.

Nie chciałam, żeby czuła się zażenowana, więc podziękowałam jej za radę w kwestii żakietu. Najwyraźniej się odprężyła i zaczęłyśmy rozmawiać o tym, gdzie można kupić najlepsze buty. Miała na nogach wysokie czarne skórzane szpilki. Ucieszył ją ten temat, pomyślałam, a później się rozstałyśmy. Na odchodnym każda z nas powiedziała, że miło było się poznać.

Kiedy wróciłam do domu – przenieśliśmy się już wtedy do Brooklyn Heights – i wokół biegały dzieci, wołając, gdzie jest suszarka albo bluzka, która była w pralni, przejrzałam półki z książkami i przekonałam się, że Sarah Payne tylko trochę przypomina tę ze zdjęć na okładkach. Okazało się, że czytałam jej powieści. Później przypomniałam sobie, że spotkałam na przyjęciu mężczyznę, który ją znał. Opowiadał o jej twórczości, mówił, że jest dobrą pisarką, ale nie może się powstrzymać od wyrażania „łzawego współczucia”, które go odrzucało i jego zdaniem szkodziło tym powieściom. Ale mnie się podobały. Lubię autorów, którzy próbują przekazać jakąś prawdę. Jej książki podobały mi się także dlatego, że Sarah Payne dorastała w zapuszczonym sadzie w niewielkim miasteczku w New Hampshire. Opisywała rolnicze zakątki tego stanu i ludzi, którzy ciężko pracowali

i cierpieli, ale zdarzały im się też dobre rzeczy. Później uświadomiłam sobie, że nawet w swoich powieściach Sarah Payne nie mówi c a ł e j prawdy, zawsze od czegoś ucieka. Przecież ledwo mogła wymówić swoje nazwisko! Czułam, że to też rozumiem.

Następnego ranka w szpitalu – teraz już tyle lat temu – powiedziałam matce, iż martwię się, że nie sypia. Odparła, że niepotrzebnie, bo przez całe życie nauczyła się zapadać w krótkie drzemki. Potem znowu nastąpił jakby słowotok, presja emocji, które zdawały się z niej wylewać, gdy nagle, tamtego ranka, zaczęła opowiadać o swoim dzieciństwie, o tym, jak także wtedy ucinała sobie te krótkie drzemki.

– Uczysz się tego, kiedy nie czujesz się bezpieczna – tłumaczyła. – Zawsze możesz się zdrzemnąć na siedząco.

O dzieciństwie matki wiem bardzo niewiele. Uważam, że w pewnym sensie to nic niezwykłego, że wiemy niewiele o dzieciństwie naszych rodziców. To znaczy, w s z c z e g ó l n y m sensie. Jest teraz duże zainteresowanie genealogią, nazwiskami, miejscami, zdjęciami, archiwami sądowymi, ale w jaki sposób mamy się dowiedzieć, jak wyglądało codzienne życie tych ludzi? To znaczy, gdy przychodzi taki czas, kiedy zaczynamy się tym interesować. Purytanizm moich przodków sprawił, że konwersacja nie miała stanowić źródła przyjemności, tak jak widuję to w innych kulturach. Ale tamtego ranka w szpitalu matka była

najwyraźniej zadowolona, że opowiada o tym, jak latem wyjeżdżała na farmę, choć mówiła już o tym w przeszłości. Z jakichś powodów w dzieciństwie spędzała większość letnich wakacji na farmie swojej ciotki Celii, którą zapamiętałam jedynie jako chudą i bladą istotę i którą wraz z moim rodzeństwem nazywaliśmy „ciotką Seal[***]", przynajmniej w myślach. Wiązała się z tym pewna niejasność, ponieważ dzieci myślą konkretami, a nie miałam pojęcia, dlaczego odziedziczyła imię po zwierzęciu morskim, którego nigdy nie widziałam na oczy. Była żoną wujka Roya, który, o ile mi wiadomo, był bardzo miłym człowiekiem. Kuzynka matki, Harriet, była ich jedyną córką i jej imię przewijało się przez całą moją młodość.

– Pamiętam – powiedziała matka cicho, ale pośpiesznie – jak pewnego ranka... Byłyśmy wtedy małe, mogłam mieć pięć lat, a Harriet trzy... pamiętam, jak postanowiłyśmy pomóc cioci Celii oderwać zwiędłe pędy liliowców rosnących przy stodole. Harriet była malutka i pomyliła martwe pędy z dużymi nierozkwitłymi pąkami. Zaczęła je obrywać, kiedy na dwór wyszła ciocia Celia.

– Ciotka Seal była zła? – spytałam.

– Nie, nie przypominam sobie. Za to ja byłam zła, bo próbowałam jej wytłumaczyć różnicę między pąkiem a zwiędłym pędem. Głupi dzieciak.

– Nie wiedziałam, że Harriet była głupia. Nigdy tak nie mówiłaś.

– Może i nie była. Pewnie nie była głupia, ale wszystkiego się bała, a najbardziej piorunów. Chowała się pod łóżkiem i kwiliła. Nigdy tego nie rozumiałam. I okropnie bała się węży. Głupi dzieciak.

– Mamo, proszę cię, nie wypowiadaj więcej tego słowa.

Próbowałam wstać i uniosłam stopy. Do dziś czuję potrzebę, by unieść stopy tak, bym mogła je widzieć, kiedy tylko słyszę to słowo.

– O które słowo ci chodzi? „Węże”?

– Mamo!

– Na litość boską, przecież... Już dobrze, dobrze. – Machnęła ręką, wzruszyła ramionami i spojrzała za okno. – Często przypominałaś mi Harriet. Te twoje głupie lęki. I jeszcze to, jak się użalałaś nad każdym, kto się nawinął.

Wciąż nie wiem, nad kim się tak użalałam ani kiedy ten ktoś miał się nawinąć.

– Chętnie tego posłucham – powiedziałam. Chciałam znów usłyszeć jej głos, ten inny, pośpieszny.

Do sali weszła Zbolała. Zmierzyła mi temperaturę, ale nie zapatrzyła się w dal jak Ciasteczko, tylko spojrzała na mnie badawczo, zerknęła na termometr i oznajmiła, że temperatura jest bez zmian w porównaniu z poprzednim dniem. Spytała matkę, czy niczego jej nie potrzeba. Mama potrząsnęła głową. Zbolała jeszcze chwilę postała. Na jej umęczonej twarzy malował się grymas niezdecydowania. Później zmierzyła mi tętno, które tamtego ranka tak jak zawsze było w porządku.

– No, dobrze – rzuciła pielęgniarka.

Podziękowałyśmy jej. Zapisała coś w karcie. Będąc już przy drzwiach, obróciła się i zapowiedziała, że wkrótce przyjdzie lekarz.

– Wydał mi się sympatyczny, kiedy przyszedł tu wczoraj wieczorem – powiedziała matka, zwracając się do okna.

Pielęgniarka rzuciła mi jeszcze spojrzenie, zanim wyszła.

Po chwili poprosiłam:

– Mamo, opowiedz mi jeszcze o Harriet.

– Przecież wiesz, co ją spotkało. – Matka wróciła do sali i do mnie.

– Ale zawsze ją lubiłaś, prawda?

– Oczywiście. Czego można było w niej nie lubić? Miała okropnego pecha w małżeństwie. Wyszła za mężczyznę z pobliskiego miasteczka, którego poznała na tańcach w cztery pary w stodole. Wszyscy się cieszyli, bo za ładna to ona nie była, nawet za młodu.

– Co z nią było nie tak?

– Nic, tylko zawsze była marudna, nawet jako młoda dziewczyna, i miała wystające zęby. W dodatku paliła i brzydko pachniało jej z ust. Ale była urocza, w życiu nikogo by nie skrzywdziła. Miała dwójkę dzieci, Abla i Dottie...

– Kiedy byłam mała, uwielbiałam Abla.

– Tak. Abel zawsze był cudowny. Dziwna rzecz, nagle z niczego wyrasta piękne drzewo, i właśnie tak było z Ablem. Tak czy siak, pewnego dnia mąż Harriet poszedł kupić jej papierosy i...

– Nie wrócił – dopowiedziałam za matkę.

– A jakże, nie wrócił. Pewnie, że nie wrócił. Padł martwy na ulicy. Harriet robiła, co mogła, żeby nie odebrano jej dzieci. Mąż zostawił ją z niczym, biedaczkę. Pewnie nie spodziewał się, że tak nagle umrze. Mieszkali wtedy w Rockford, ponad godzinę jazdy samochodem. Nie mam pojęcia, dlaczego Harriet tam została. Kiedy już przenieśliśmy się do domu, latem przysyłała do nas dzieci na parę tygodni. Aż żal było na nie patrzeć. Zawsze

starałam się sprawić Dottie nową sukienkę, kiedy wracała do domu.

Abel Blaine. Miał za krótkie spodnie, pamiętam, że nie sięgały mu do kostek. Kiedy szliśmy do miasta, dzieci nabijały się z niego, a on wciąż się uśmiechał, jakby to było nieważne. Miał krzywe i popsute zęby, ale poza tym wyglądał niczego sobie. Może wiedział, że jest ładnym chłopcem. Myślę, że miał naprawdę dobre serce. To on nauczył mnie szukać jedzenia w śmietniku za cukiernią Chatwina. Uderzało mnie, że zupełnie bez skrępowania stawał w śmietniku i odrzucał pudełka, póki nie znalazł tego, czego szukał, czerstwych ciastek, bułek i zapiekanek z poprzednich dni. Dottie, moja siostra i brat nie chodzili z nami. Nie wiem, co wtedy robili. Po kilku wizytach w Amgash Abel przestał przyjeżdżać. Dostał pracę biletera w kinie w swoim miasteczku. Przysłał mi list, do którego dołączył ulotkę ze zdjęciem foyer. Pamiętam, że było przepiękne, wyłożone wspaniałymi różnokolorowymi zdobnymi płytkami.

– Abel spadł na cztery łapy – ciągnęła matka.

– Opowiedz mi o tym jeszcze raz.

– Ożenił się z córką któregoś ze swoich przełożonych. W jego wersji z córką szefa. Od lat mieszka w Chicago. Jego żona zadziera nosa i nie chce mieć nic wspólnego z biedną Dottie, którą mąż kilka lat temu rzucił dla innej. Wiesz, pochodził ze Wschodu.

– Nie wiem.

– Właśnie tak – westchnęła moja matka. – Gdzieś ze Wschodniego Wybrzeża... – Matka kiwnęła głową w stronę okna, jakby chciała wskazać, że pochodził gdzieś stąd. – Pewnie

wydawało mu się, że jest lepszy od niej. Smutasku, jak ty możesz żyć bez nieba?

– Tu jest niebo – odpowiedziałam i szybko dodałam: – Chociaż wiem, co masz na myśli.

– Jak możesz żyć bez nieba?

– Zamiast nieba są tu ludzie – odparłam. – Powiedz dlaczego.

– Co dlaczego?

– Dlaczego mąż Dottie ją rzucił?

– A bo ja wiem? Chociaż pewnie wiem. Poznał jakąś kobietę w szpitalu, gdzie wycinali mu wyrostek. Prawie tak jak ty!

– Jak ja? Myślisz, że dam dyla z Ciasteczkiem albo z Poważnym Dzieckiem?

– Nigdy nie wiadomo, co pociąga nas w innych – odparła matka. – Ale nie sądzę, żeby dał dyla z taką jak Zbolała. – Matka kiwnęła głową w stronę drzwi. – Prędzej zwiałby z Dzieckiem. Założę się, że Poważne Dziecko wcale nie jest taka poważna... – Pochyliła się i zaczęła mówić szeptem: – Ta śniada, czy jak ją nazwać. Wiesz, ta Indianka. – Matka znów oparła się na krześle. – Ale jestem prawie pewna, że tamta jest młodsza i ładniejsza od Dottie. Mąż zostawił jej dom. Dottie urządziła w nim pensjonat i z tego, co wiem, nieźle sobie radzi. Abel mieszka w Chicago i powodzi mu się lepiej niż dobrze, więc biedna Harriet ma się w końcu z czego cieszyć. Pewnie martwiła się o Dottie. Boże, martwiła się o wszystkich. Ale teraz przypuszczam, że już się nie martwi, bo zmarła wiele lat temu. Tak po prostu, we śnie. Niezła śmierć.

Zapadałam w drzemkę i budziłam się, słysząc głos mojej matki.

Pomyślałam: chcę tylko tego.

Okazało się jednak, że chciałam czegoś jeszcze. Chciałam, żeby matka spytała o moje życie. Chciałam jej o nim opowiedzieć. Głupio, bo była to tylko głupota, wypaliłam:

– Mamo, opublikowali moje dwa opowiadania.

Rzuciła mi przelotne, pytające spojrzenie, jakbym jej oświadczyła, że wyrosły mi dodatkowe palce u nóg, po czym wyjrzała przez okno i się nie odezwała.

– Takie tam, durne – dodałam. – W małych pisemkach.

Matka wciąż milczała.

– Becka źle sypia – ciągnęłam. – Może ma to po tobie. Może też będzie tylko drzemać.

Matka wciąż wyglądała przez okno.

– Nie chcę, żeby nie czuła się bezpieczna. Mamo, dlaczego nie czułaś się bezpieczna?

Matka zamknęła oczy, jakby samo to pytanie mogło sprawić, że zapadła w drzemkę, ale ani przez moment nie wierzyłam, że zasnęła.

Po dłuższej chwili otworzyła oczy, a wtedy powiedziałam:

– Mam przyjaciela, Jeremy'ego. Pochodzi z Francji, z arystokratycznej rodziny.

Matka zerknęła na mnie, później wyjrzała za okno i minęło sporo czasu, zanim powiedziała:

– On tak twierdzi.

– On tak twierdzi – przytaknęłam przepraszającym tonem, dając jej do zrozumienia, że już nie musimy rozmawiać o nim ani o moim życiu.

I właśnie wtedy w drzwiach sali stanął lekarz.

– Dziewczyny! – rzucił i skinął głową. Tak jak poprzedniego dnia, podszedł i uścisnął rękę mojej matki. – Jak się dziś czujemy?

Szybkim ruchem zaciągnął zasłonę wokół łóżka i odseparował mnie od niej. Uwielbiałam go z wielu powodów, a jeden z nich był taki, że kiedy się zjawiał, dotyczyło to tylko jego i mnie. Usłyszałam, jak matka odsuwa krzesło, i już wiedziałam, że wyszła. Lekarz ujął mnie za rękę, żeby zmierzyć tętno. Gdy dyskretnie uniósł mój szpitalny fartuch, żeby obejrzeć bliznę, co zwykł robić codziennie, obserwowałam jego piękne ręce o grubych palcach z błyszczącą obrączką, którymi delikatnie dotykał miejsc wokół szwu, patrząc mi w oczy, by sprawdzić, czy boli. Pytanie to zawarł w uniesionych brwiach, a ja potrząsnęłam głową. Rana ładnie się goiła.

– Ładnie się goi – ocenił, a ja odpowiedziałam:

– Tak, wiem.

Uśmiechnęliśmy się, bo najwyraźniej coś to znaczyło – to, że nie ta rana jest powodem mojej choroby. To znaczy, ten uśmiech c o ś potwierdzał. Zapamiętałam tego człowieka na zawsze i przez lata przekazywałam szpitalowi datki, wpisując jego nazwisko. Pomyślałam wtedy o wyrażeniu „nakładanie rąk” i wciąż o nim myślę.

Furgonetka. Czasami powraca do mnie z zaskakującą wyrazistością. Ubłocone okna, pochyłość przedniej szyby, brud na desce rozdzielczej, woń ropy i gnijących jabłek, i jeszcze psów. Nie umiem powiedzieć, jak często, ale wielokrotnie zamykali mnie w furgonetce. Nie pamiętam, kiedy pierwszy raz i kiedy ostatni. Ale byłam bardzo mała, ostatnim razem musiałam mieć nie więcej niż pięć lat, bo później spędzałam całe dnie w szkole. Zamykali mnie tam, bo siostra i brat byli w szkole – tak teraz myślę – a oboje rodzice pracowali. Niekiedy zamykali mnie za karę. Pamiętam solone krakersy z masłem orzechowym, których nie mogłam jeść, bo tak się bałam. Pamiętam, jak tłukłam w szybę i wrzeszczałam. Nie myślałam, że umrę, chyba o niczym nie myślałam, byłam tylko przerażona, gdy zdałam sobie sprawę, że nikt do mnie nie przyjdzie, że będę patrzeć, jak ciemnieje niebo, i czuć, jak do środka wkrada się chłód. Zawsze płakałam bez opamiętania, do utraty tchu. W tym mieście, w Nowym Jorku, widzę, jak dzieci płaczą ze zmęczenia, które jest realne, a czasami z irytacji, która też jest prawdziwa. Czasami tylko widzę dziecko płaczące w najgłębszej rozpaczy i myślę, że to jeden z najbardziej

autentycznych dźwięków, jakie może z siebie wydobyć. Czuję wtedy niemal, jakbym słyszała odgłos własnego pękającego serca, tak jak będąc na dworze – gdy były spełnione wszystkie warunki – można było usłyszeć, jak rośnie kukurydza na polach mojej młodości. Spotkałam wiele osób, nawet ze Środkowego Zachodu, które twierdzą, że nie sposób usłyszeć, jak rośnie kukurydza, ale się mylą. Wiem, że nie można usłyszeć pękającego serca, ale dla mnie te rzeczy są nierozłączne, odgłos rosnącej kukurydzy i mojego pękającego serca. Wysiadałam z wagonu metra, którym akurat jechałam, żeby nie słyszeć dziecka, które tak płacze.

Kiedy zamykali mnie w furgonetce, moje myśli wędrowały do bardzo dziwnych miejsc. Miałam wrażenie, że widzę zmierzającego ku mnie mężczyznę albo potwora, a raz wydawało mi się, że widzę moją siostrę. Potem się opanowywałam i mówiłam do siebie na głos: „Spokojnie, kochanie. Zaraz przyjdzie tu jakaś miła pani. Jesteś bardzo grzeczną dziewczynką, a ona jest krewną mamusi. Poprosi cię, żebyś z nią zamieszkała, bo jest samotna i chce mieszkać z małą grzeczną dziewczynką". To była taka fantazja, która wydawała mi się bardzo realna i mnie uspokajała. Wyobrażałam sobie, że nie jest mi zimno, że mam czystą pościel, toaletę, która działa, i słoneczną kuchnię. Dzięki temu trafiałam do raju. A potem wkradał się chłód i zachodziło słońce, i znowu zaczynałam płakać; najpierw to było tylko kwilenie, a później krzyk. Wtedy pojawiał się ojciec, otwierał drzwi i czasami brał mnie na ręce. Zdarzało się, że mówił: „Nie ma powodu, żeby płakać". Pamiętam jego ciepłą dłoń na mojej głowie.

Poprzedniego wieczoru lekarz, który nosił swój smutek z takim wdziękiem, przyszedł, żeby mnie zbadać.

– Byłem u pacjenta na innym piętrze – powiedział. – Zobaczmy, jak się pani miewa.

Jak zawsze zaciągnął zasłonę wokół łóżka. Nie zmierzył mi temperatury termometrem, tylko przyłożył dłoń do czoła, a potem zmierzył mi tętno, chwytając palcami za rękę.

– No dobrze. Miłych snów.

Zacisnął dłoń w pięść, pocałował, a potem ją uniósł. Odsunął zasłonę wokół łóżka, nim wyszedł. Przez wiele lat kochałam tego człowieka, ale już o tym wspominałam.

Oprócz Jeremy'ego w tamtym czasie moją jedyną przyjaciółką w Village była wysoka Szwedka o imieniu Molla. Była co najmniej dziesięć lat starsza ode mnie, ale też miała małe dzieci. Któregoś dnia przechodziła z nimi obok naszego domu w drodze do parku i nagle zaczęła rozmawiać ze mną o bardzo intymnych sprawach. Matka źle ją traktowała, więc po urodzeniu pierwszego dziecka Molla wpadła w depresję. Terapeuta tłumaczył jej, że odczuwa smutek z powodu tego wszystkiego, czego nie dała jej matka, i tak dalej. Nie, żebym jej nie wierzyła, ale tym, co mnie zaintrygowało, była nie sama historia, tylko jej styl, szczere mówienie o sprawach, o których – jak sądziłam – ludzie nigdy nie rozmawiają. Ona też nie była zbytnio mną zainteresowana, co sprawiało, że czułam się przy niej swobodnie. Lubiła mnie, była dla mnie miła, ale też lubiła się mądrzyć, doradzać, jak mam nosić swoje dzieci i wozić je do parku, więc ja też ją lubiłam. Czułam się przy niej, jakbym oglądała jakiś film, albo coś, co powstało za granicą – bo rzeczywiście tak było. Często zresztą nawiązywała do jakichś filmów, a ja nigdy nie wiedziałam, o co jej chodzi. Musiała to zauważyć, ale traktowała mnie uprzejmie,

a może tylko nie mogła uwierzyć, że patrzę na nią jak niemota, kiedy opowiada o filmach Bergmana, o muzyce albo o serialach telewizyjnych z lat sześćdziesiątych. Jak już wspomniałam, nie wiedziałam nic o kulturze masowej. W tamtym czasie ledwo to u siebie dostrzegałam. Mój mąż wiedział o tym i próbował przyjść mi w sukurs, kiedy był pod ręką, mówiąc, na przykład: „Nie przejmujcie się, moja żona nie oglądała w młodości wielu filmów". Albo: „Miała surowych rodziców, którzy zakazywali jej oglądać telewizję". Nie zdradzał, że spędziłam dzieciństwo w biedzie, bo nawet biedni ludzie mieli telewizory. Kto by w to uwierzył?

– Mamo? – powiedziałam cicho następnego wieczoru.

– Tak?

– Dlaczego tu przyjechałaś?

Chwila ciszy, pewnie przesuwała się na krześle, ale nie wiem, bo leżałam z głową w stronę okna.

– Bo twój mąż zadzwonił i mnie o to poprosił. Pewnie chciał, żeby ktoś cię poniańczył.

Znów cisza, tym razem długa, trwająca dziesięć minut, a może godzinę, nie wiem. W końcu powiedziałam:

– Tak czy siak, dziękuję.

Matka nie odpowiedziała.

W nocy wybudziłam się z koszmaru, którego nie zapamiętałam. Matka odezwała się cicho:

– Śpij, Smutasku mój, a jeśli nie możesz, to chociaż odpoczywaj. Proszę cię, nie wstawaj, skarbie.

– Ty nigdy nie śpisz – odparłam, próbując usiąść. – Jak można co noc nie spać? Jesteś tu już dwa dni!

– Nie przejmuj się – odpowiedziała, po czym dodała: – Lubię twojego lekarza. Troszczy się o ciebie. Cudzoziemscy lekarze nic

nie wiedzą, bo niby skąd? Ale ten jest dobry i dba o to, żebyś wyzdrowiała.

– Ja też go lubię – odpowiedziałam. – Uwielbiam go.

Po paru minutach matka rzuciła:

– Przykro mi, że mieliśmy tak mało pieniędzy, kiedy dorastaliście. Wiem, że to było upokarzające.

Poczułam w ciemnościach, jak cała oblewam się rumieńcem.

– Nie sądzę, żeby to miało jakieś znaczenie.

– Oczywiście, że miało.

– Ale teraz wszystko jest już dobrze.

– Nie jestem taka pewna – odpowiedziała zadumana. – Twój brat to mężczyzna niemal w średnim wieku, który sypia ze świniami i czytuje książki dla dzieci. A Vicky wciąż ma do nas żal. Koledzy naśmiewali się z was w szkole. Ja i ojciec nie wiedzieliśmy o tym, a przecież powinniśmy. Vicky jest na nas wściekła.

– Na ciebie?

– Myślę, że też.

– To niedorzeczne.

– Nie. Matki powinny chronić swoje dzieci.

Po chwili powiedziałam:

– Mamo, są dzieci, których matki sprzedają je za narkotyki. Są dzieci, których matki ruszają w tango na wiele dni i zostawiają je same. Są...

Urwałam. Zmęczyło mnie to, bo brzmiało nieszczerze.

– Ty byłaś inna niż Vicky – odezwała się matka. – Od brata też się różniłaś. Nie przejmowałaś się za bardzo tym, co o nas pomyślą.

– Skąd wiesz?

– Spójrz na swoje życie. Ruszyłaś przed siebie i... udało się.

– Rozumiem.

A jednak nie rozumiałam. Bo jak można zrozumieć coś, co dotyczy nas samych?

– Kiedy jako mała dziewczynka szłam do szkoły – powiedziałam, leżąc na wznak na szpitalnym łóżku, na które przez okno padały światła okolicznych budynków – cały dzień za tobą tęskniłam. Wezwana do odpowiedzi, nie mogłam wymówić słowa, bo miałam gulę w gardle. Nie pamiętam, jak długo to trwało, ale tęskniłam tak bardzo, że czasami szłam do łazienki, żeby się wypłakać.

– Twój brat wymiotował.

Odczekałam chwilę. Wiele chwil.

Wreszcie dokończyła:

– W piątej klasie wymiotował każdego ranka, zanim poszedł do szkoły. Dotąd nie wiem dlaczego.

– Mamo? Jakie książki dla dzieci on czyta?

– Te o dziewczynce na prerii. Jest taka seria. Uwielbia je. On nie jest opóźniony.

Spojrzałam za okno. Wieżowiec Chryslera świecił niczym latarnia morska, którą w istocie był, niczym kaganek największych nadziei ludzkości, jej aspiracji i pragnienia piękna. Właśnie to chciałam powiedzieć matce o tym budynku.

– Czasami przypomina mi się furgonetka – rzuciłam.

– Furgonetka? – Była wyraźnie zaskoczona. – Nie wiem o żadnej furgonetce. Masz na myśli starego chevroleta ojca?

Chciałam odpowiedzieć, och, jak bardzo chciałam odpowiedzieć: „Nie wiesz o tym, jak pewnego razu znaleźliście tam ze mną tego długiego brązowego węża?”. Chciałam zadać jej to pytanie, ale nie mogłam wypowiedzieć tego słowa, nawet teraz ledwo je wypowiadam i mówię komukolwiek o tym, jaka byłam przerażona, kiedy zobaczyłam, że zamknęli mnie w tej furgonetce z takim długim, brązowym... I tak szybko się ruszał. Tak szybko.

Kiedy byłam w szóstej klasie, przyjechał do nas nowy nauczyciel ze Wschodu. Był młody i nazywał się Haley. Prowadził zajęcia z wiedzy o społeczeństwie. Pamiętam dwie rzeczy. Pierwsza to ta, że któregoś dnia musiałam wyjść do łazienki. Nie znosiłam tego robić, bo zwracałam na siebie uwagę. Pan Haley skinął głową i z uśmiechem wręczył mi przepustkę. Potem wróciłam do klasy, podeszłam do niego, żeby oddać przepustkę, duży drewniany klocek, który musieliśmy mieć przy sobie na korytarzu na dowód, że pozwolono nam wyjść z klasy, i mu ją oddałam. Wtedy zauważyłam, że Carol Darr, dziewczyna, którą wszyscy lubili, wykonuje jakiś ruch, gest, którym – co wiedziałam z doświadczenia – ze mnie drwi. Pokazywała go innym, żeby też się ze mnie naśmiewali. Pamiętam, że pan Haley cały poczerwieniał i powiedział:

– Niech ci się n i g d y nie wydaje, że jesteś od kogoś lepsza. Nie będę tego tolerował na moich lekcjach, bo tu nie ma lepszych i gorszych. Zauważyłem u niektórych, że czują się lepsi od innych, i nie zamierzam tego tolerować.

Zerknęłam na Carol Darr. Najwyraźniej ją utemperował, poczuła się źle.

Zakochałam się w tym człowieku natychmiast, skrycie i bezwarunkowo. Nie mam pojęcia, gdzie teraz jest i czy jeszcze żyje, ale wciąż go kocham.

Drugą rzeczą, jaką zapamiętałam, było to, że pan Haley uczył nas o Indianach. Wcześniej nie wiedziałam, że podstępnie wyłudziliśmy od nich ziemię, co wywołało bunt Czarnego Jastrzębia. Nie wiedziałam, że biali dawali im whiskey i zabijali indiańskie kobiety na ich własnych polach kukurydzy. Poczułam, że kocham Czarnego Jastrzębia tak jak pana Haleya, że Indianie byli dzielni i wspaniali, i nie mogłam uwierzyć, że pojmanego Czarnego Jastrzębia obwożono po różnych miastach w klatce. Najszybciej, jak tylko mogłam, przeczytałam jego autobiografię. Zapamiętałam z niej słowa: „Jakże gładki musi być język białych, skoro potrafią nazywać dobro złem, a zło dobrem". Martwiłam się, że jego wspomnienia mogły zostać przełożone przez tłumacza niedokładnie, i zastanawiałam się, kim naprawdę był Czarny Jastrząb. Postrzegałam go jako silnego, ale zagubionego. Smuciło mnie, kiedy wypowiadał się uprzejmie o „naszym Wielkim Ojcu, Prezydencie".

Wszystko to mnie poraziło, ów ogrom nieszczęść, które sprowadziliśmy na ten lud. Gdy pewnego dnia wróciłam ze szkoły po lekcji, na której usłyszeliśmy, że Indianki obsiewały pola kukurydzy, a biali przyjeżdżali i je zaorywali, matka siedziała w kucki przed drzwiami naszego garażu, z którego niedawno się wyprowadziliśmy. Może coś tam naprawiała, nie pamiętam. Spytałam ją:

– Mamo, wiesz, co zrobiliśmy Indianom?
Powiedziałam to powoli i z przerażeniem.
Matka potarła włosy wierzchem dłoni.
– Mam to gdzieś – odpowiedziała.

Pan Haley odszedł ze szkoły wraz z końcem roku, chyba do wojska, tak zapamiętałam. Pewnie trafił do Wietnamu, bo to było w tamtym czasie. Szukałam jego nazwiska na pomniku weteranów w Waszyngtonie, ale go tam nie ma. Nie wiem o nim nic więcej, ale z tego, co pamiętam, Carol Darr potem podczas lekcji zachowywała się wobec mnie w porządku. To znaczy, że wszyscy lubiliśmy pana Haleya. Wszyscy go szanowaliśmy. To niemały wyczyn dla faceta w klasie pełnej dwunastolatków, ale on tego dokonał.

Przez lata myślałam o książkach, które – jak doniosła mi matka – czytał mój brat. Ja też je czytałam, ale zbytnio mnie nie poruszyły. Jak wspomniałam, sercem byłam przy Czarnym Jastrzębiu, a nie przy żyjących na prerii białych. Oto jakie myśli wywołały u mnie te książki: co mojemu bratu się w nich podobało? Rodzina ukazana w tych książeczkach była miła. Przemierzali prerię, czasami miewali kłopoty, ale matka była tam zawsze dobra, a ojciec bardzo kochał swoje dzieci.

Okazało się, że moja córka Chrissie też uwielbia te książki. Kiedy skończyła osiem lat, kupiłam jej tę o Tilly, która była dla mnie taka ważna. Chrissie uwielbiała czytać. Cieszyłam się, kiedy rozpakowała tę książkę. Stało się to na przyjęciu, które wyprawiłam jej na urodziny. Była tam jej koleżanka, której ojciec był muzykiem. Kiedy przyjechał, żeby odebrać córkę, został u nas trochę porozmawiać i wspomniał o malarzu, którego poznałam na studiach. Malarz przeniósł się do Nowego Jorku niedługo po mnie. Powiedziałam, że go znam. Muzyk stwierdził, że jestem ładniejsza

od jego żony. „Nie, nie mają dzieci”, odpowiedział, kiedy go o to spytałam.

Po kilku dniach Chrissie skomentowała książeczkę o Tilly:

– Mamusiu, ta książka jest trochę głupia.

Za to książeczki o dziewczynce z prerii, które lubił mój brat, Chrissie też uwielbia.

Na trzeci dzień, od kiedy matka usiadła obok mojego łóżka, dostrzegłam na jej twarzy zmęczenie. Nie chciałam, żeby wyjeżdżała, ale jakoś nie mogła przystać na propozycję pielęgniarek, żeby wstawić do sali leżankę, i poczułam, że wkrótce mnie opuści. Jak to zawsze u mnie, zaczęłam na zapas się tego bać. Pamiętam mój pierwszy lęk na zapas. Wiązał się z dzieciństwem i dentystą. W młodości rzadko mieliśmy kontrole u stomatologa, poza tym mówiło się, że mamy genetycznie słabe zęby, więc każda wizyta u dentysty z góry przepełniała nas lękiem. Dentysta przyjmujący pacjentów bezpłatnie był niecierpliwy i zawsze się śpieszył, jakby nienawidził nas za to, kim jesteśmy; zaczynałam się bać tej wizyty, jak tylko usłyszałam, że muszę do niego pójść. Nie bywałam tam często, ale bardzo wcześnie przekonałam się, że strach przed cierpieniem to zbędne cierpienie. Wspominam o tym, żeby pokazać, do jak wielu rzeczy umysł nie potrafi się przemóc, nawet jeśli chce.

W nocy przyszła Poważne Dziecko i oznajmiła, że laboratorium przysłało już wyniki badań krwi i że muszą natychmiast wykonać tomografię.

– Przecież to środek nocy! – zdziwiła się matka.

Poważne Dziecko jednak nie dała za wygraną.

– Dobra, jedźmy – powiedziałam.

Po chwili zjawili się sanitariusze, przełożyli mnie na wózek i pomachałam matce. Przewozili mnie z jednej wielkiej windy do drugiej. W korytarzach i windach było ciemno. Wszędzie panował półmrok. Wcześniej nie opuszczałam sali nocą i nie wiedziałam, że nawet w szpitalu noc i dzień wyglądają inaczej. Po bardzo długiej jeździe i pokonaniu wielu zakrętów trafiłam wreszcie do właściwej sali. Ktoś wkłuł mi w ramię małą rurkę i wsadził drugą małą rurkę do gardła.

– Proszę się nie ruszać – przykazali mi.

Nawet nie mogłam skinąć głową.

Po bardzo długim czasie – to znaczy tak naprawdę nie wiem, ile to trwało – wsunęli mnie do tomografu. Usłyszałam parę kliknięć i nagle zrobiło się cicho.

– Cholera! – usłyszałam jakiś głos.

Znów długo tam leżałam.

– Popsuł się – powiedział głos – ale musimy zrobić pani badanie, bo lekarz nas zabije.

Długo już tam leżałam i bardzo zmarzłam. Trzęsłam się, ale nikt tego nie zauważył, bo na pewno daliby mi koc. Zależało im jednak tylko na tym, żeby uruchomić tomograf, i potrafię to zrozumieć.

Wreszcie znowu wsunęli mnie do środka, wszystko klikało jak trzeba i mrugały małe czerwone lampki. Potem wyciągnęli mi rurkę z gardła i przewieźli mnie na korytarz. Myślę, że to wspomnienie pozostanie ze mną na zawsze: Matka siedziała w ciemnej poczekalni w piwnicy szpitala. Była zgarbiona ze zmęczenia, ale czekała, bezbrzeżnie cierpliwa.

– Mamusiu – szepnęłam, a ona poruszyła palcami. – Jak mnie tu znalazłaś?

– Łatwo nie było – odpowiedziała. – Ale koniec języka za przewodnika.

Nazajutrz rano Zbolała przyniosła wiadomość, że badanie wypadło dobrze, że mimo wyników badań krwi tomografia nic nie wykazała i że lekarz później mi to wyjaśni. Przyniosła też plotkarskie czasopismo i spytała matkę, czy miałaby ochotę je poczytać. Matka potrząsnęła głową, jakby ktoś kazał jej chwycić kogoś za genitalia.

– Ja bym chciała – odezwałam się i wyciągnęłam rękę. Dała mi pisemko, a ja podziękowałam. Rankiem leżało na moim łóżku. Później schowałam je do szuflady w stoliku, na którym stał telefon. Zrobiłam to – ukryłam je – na wypadek gdyby przyszedł lekarz. Byłam jak moja matka, nie chciałyśmy, żeby oceniano nas na podstawie tego, co czytamy, tyle że ona nie chciała tego czytać, a ja nie chciałam, żeby ktoś mnie z tym zobaczył. Po wielu latach wydaje mi się to dziwne. Byłam w szpitalu, matka w sumie też. A czy jest lepsza okazja, żeby przeczytać wtedy coś, co odciąga myśli od zmartwień? Koło łóżka leżało parę książek, które przywiozłam z domu, ale nie czytałam ich przy matce, a ona nawet na nie nie spojrzała. Co do tego czasopisma, mój lekarz na pewno by się nim nie przejął. Ale właśnie takie przewrażliwione

obie byłyśmy, matka i ja. Świat wciąż ocenia. Jak to zrobić, żeby nie czuć się gorszym od innych?

To było zwykłe czasopismo o gwiazdach filmowych. Kiedy córki podrosły, dla rozrywki przeglądałam z nimi takie pisma. W tym konkretnym często pojawiały się artykuły o zwykłych ludziach, którzy przeżyli jakieś straszne nieszczęście. Gdy po południu wyjęłam je z szuflady, natknęłam się na artykuł o kobiecie z Wisconsin, która pewnego wieczoru poszła do stajni po męża i uciekinier z zamkniętego zakładu psychiatrycznego odrąbał jej rękę, dosłownie, odrąbał siekierą. Stało się to na oczach męża przywiązanego do słupa przy kojcach dla koni. Zaczął wrzeszczeć, konie zaczęły rżeć, ona pewnie też darła się wniebogłosy – nie napisali, czy straciła przytomność. Te wszystkie wrzaski sprawiły, że zbieg z zakładu psychiatrycznego uciekł. Kobieta, która mogła wykrwawić się na śmierć, bo z tętnic tryskała krew, zdołała wezwać pomoc. Przybiegł sąsiad i zatamował krwotok opaską. Odtąd żona, mąż i sąsiad postanowili rozpoczynać każdy dzień od wspólnej modlitwy. Było tam zdjęcie, jak modlą się w porannym słońcu przed drzwiami stajni w Wisconsin. Kobieta modliła się z jedną ręką. Małżonkowie liczyli, że sprawią jej protezę, ale nie mieli pieniędzy. Powiedziałam matce, że fotografowanie modlących się ludzi jest w złym guście. Odpowiedziała, że to wszystko jest w złym guście.

– Ale ten mąż miał szczęście – dodała po kilku chwilach. – W telewizji mówią czasami, że mąż musi patrzeć, jak gwałcą mu żonę.

Odłożyłam czasopismo. Spojrzałam na matkę siedzącą obok łóżka, której nie widziałam od lat.

– Serio? – spytałam.

– Co serio?

– Facet patrzył, jak gwałcą mu żonę? Co ty oglądasz, mamo?

Nie spytałam o to, o co najbardziej chciałam: „Kiedy kupiliście telewizor?”.

– No przecież mówię, widziałam w telewizji.

– W wiadomościach czy w jakimś serialu kryminalnym?

Widziałam, tak mi się zdawało, że się zastanawia. W końcu odpowiedziała:

– W wiadomościach, wieczorem, u Vicky. W jednym z tych okropnych krajów.

Zamknęła oczy.

Znów wzięłam czasopismo do ręki i zaczęłam je przeglądać.

– Spójrz, jaką ta kobieta ma ładną sukienkę. Mamo, spójrz, jaka ładna – powiedziałam.

Matka nie odpowiedziała ani nie otworzyła oczu.

Tak zastał nas tamtego dnia lekarz.

– Dziewczyny! – przywitał się i przystanął, kiedy zauważył, że matka ma zamknięte oczy.

Stał w drzwiach. Oboje patrzyliśmy na nią przez chwilę, żeby się przekonać, czy zasnęła, czy może jednak otworzy oczy. Ten moment, gdy oboje się w nią wpatrywaliśmy, przypomniał mi, jak czasami w dzieciństwie, kiedy jechaliśmy do miasta, rozpaczliwie pragnęłam podbiec do kogoś nieznajomego i powiedzieć: „Proszę mi pomóc, błagam! Może mnie pan stąd zabrać? Dzieje się coś niedobrego...”. Rzecz jasna nigdy tego nie zrobiłam. Intuicyjnie wyczuwałam, że żaden obcy mi nie pomoże, nie odważy się i w ostatecznym rozrachunku moja zdrada jeszcze pogorszy sprawę.

Teraz przeniosłam wzrok z matki na lekarza, bo właśnie był tym obcym, na którego liczyłam. Obrócił się do mnie i widocznie dojrzał coś w mojej twarzy. Przez chwilę zdawało mi się, że też dojrzałam coś w jego oczach. Uniósł dłoń, dając mi do zrozumienia, że wróci później. Kiedy wyszedł, poczułam, że zapadam w dobrze znany i mroczny stan sprzed lat. Oczy mojej matki pozostały zamknięte jeszcze przez wiele minut. Do dziś nie wiem, czy spała, czy tylko się przede mną wzbraniała. Miałam przemożną chęć porozmawiania z moimi dziećmi, ale matka spała tuż obok i nie mogłam jej przecież obudzić, rozmawiając przez telefon, a poza tym dziewczynki były wtedy w szkole.

Przez cały dzień miałam ochotę z nimi porozmawiać, ledwo mogłam się powstrzymać, więc wyjechałam z kroplówką na korytarz i spytałam pielęgniarek, czy mogę od nich zadzwonić. Przesunęły telefon w moją stronę i zadzwoniłam do męża. Za wszelką cenę starałam się powstrzymać łzy. Mąż był w pracy. Wzruszył się, kiedy mu powiedziałam, jak bardzo tęsknię za nim i za dziećmi.

– Skontaktuję się z nianią i powiem jej, żeby do ciebie zadzwoniła, jak tylko wrócą do domu. Chrissie umówiła się dziś z koleżanką.

Czyli życie toczy się dalej, pomyślałam.

(A teraz myślę: toczy się, dopóki nie przestanie).

Musiałam usiąść na krześle w pokoju pielęgniarek, próbując powstrzymać płacz. Zbolała objęła mnie i do teraz ją za to kocham. Czasami jest mi smutno, że Tennessee Williams napisał

o Blanche DuBois: „zawsze zależę od dobroci obcych ludzi”. Wielu z nas wielokrotnie uratowała dobroć obcych ludzi, ale po chwili zastanowienia uznajemy, że zdanie to brzmi banalnie, jak hasło na samochodowej naklejce. I właśnie to mnie smuci, fakt, że piękne i prawdziwe stwierdzenie jest używane tak często, że staje się powierzchowne, jak hasło z naklejki.

Właśnie ocierałam twarz ręką, kiedy zjawiła się moja matka. Wszystkie – Zbolała, ja i inne pielęgniarki – pomachałyśmy do niej.

– Myślałam, że drzemiesz – powiedziałam, kiedy wracałyśmy do sali.

Przytaknęła.

– Niedługo może zadzwonić niania. Chrissie umówiła się z koleżanką – dodałam.

– Po co się z nią umówiła? – spytała matka.

Cieszyłam się, że nikt tego nie słyszy.

– Poszła do niej po lekcjach, żeby się pobawić.

– Co to za koleżanka? – dociekała matka.

Pomyślałam, że tak się dopytuje, żeby zrobić mi przyjemność, bo dojrzała w mojej twarzy smutek.

Kiedy szłyśmy korytarzem, opowiedziałam jej o koleżance Chrissie, o tym, że jej mama uczy w piątej klasie, a ojciec jest muzykiem, ale przy okazji palantem, że nie są szczęśliwi w małżeństwie, a nasze córki najwyraźniej bardzo się lubią. Słuchając tego, matka cały czas kiwała głową. Kiedy wróciłyśmy

do sali, zastałyśmy tam lekarza. Z rzeczową miną zasunął zasłonę wokół łóżka i zaczął uciskać miejsca wokół szwu. Rzucił szorstko:

– À propos tego nocnego alarmu, badania krwi wykazały stan zapalny i trzeba było wykonać tomografię. Kiedy spadnie gorączka i zacznie pani przyjmować pokarmy, wypiszemy panią do domu.

Przemawiał innym tonem niż zwykle. Odbierałam jego słowa, jakby wymierzał mi policzki.

– Dobrze, proszę pana – odrzekłam, nawet na niego nie patrząc.

Przekonałam się, że ludzie się nużą. Rozum, dusza czy jakkolwiek nazwiemy to, co nie jest ciałem, nuży się. Myślę, że zwykle – najczęściej – to oznaka, że natura próbuje nam pomóc. Byłam znużona. Sądzę, chociaż tego nie wiem, że on też.

Zadzwoniła niania. Była młodą dziewczyną. Zapewniła mnie, że z dziećmi wszystko w porządku. Przyłożyła słuchawkę do ucha Becki. Powiedziałam:

– Mamusia niedługo wróci do domu.

Powtórzyłam to wiele razy. Bardzo się ucieszyłam, że Becka się nie rozpłakała.

– Kiedy? – spytała.

– Kocham cię, tęsknię i jestem tu po to, żeby wyzdrowieć. Wyzdrowieję, a wtedy się zobaczymy, już niedługo, dobrze, aniołku?

– Dobrze, mamusiu – odpowiedziała.

W Metropolitan Museum of Art, które rozsiadło się takie ogromne i z tyloma schodami przy Piątej Alei, na parterze mieści się coś, co nazywają ogrodem rzeźb. Przechodziłam obok tej rzeźby wielokrotnie z mężem i z dziećmi, kiedy podrosły, ale myślałam wtedy tylko o tym, żeby dać córkom coś do jedzenia, i nie bardzo wiedziałam, co robić w muzeum, gdzie jest tyle rzeczy do obejrzenia. Pośród tych moich obowiązków i trosk stała rzeźba, ale dopiero od niedawna – od paru lat – przystawałam, gdy oblewało ją cudowne słońce, patrzyłam na nią i wzdychałam.

To marmurowa rzeźba przedstawiająca mężczyznę z dziećmi. Na jego twarzy maluje się desperacja. Dzieci błagalnie przywierają do jego nóg, a on umęczony spogląda na świat i zakrywa usta rękami. Tymczasem dzieci wpatrują się w niego. Gdy wreszcie to dojrzałam, westchnęłam do samej siebie.

Przeczytałam na tabliczce, że te dzieci ofiarowują mu się jako strawa, gdyż ich ojciec przymiera głodem w więzieniu, a one pragną tylko jednego – odjąć mu cierpień. Dlatego z radością zgodzą się, by je zjadł.

Czyli on wiedział, pomyślałam. To znaczy rzeźbiarz wiedział.

Tak jak poeta, który opisał, co przedstawia ta rzeźba. On też wiedział.

Parokrotnie wybrałam się do muzeum właśnie po to, by popatrzeć na głodującego ojca i jego dzieci, z których jedno obejmowało go za nogę, i kiedy już tam stawałam, nie wiedziałam, co mam zrobić. Ojciec wyglądał tak, jak go zapamiętałam, więc tylko patrzyłam na niego niezdecydowana. Później uświadomiłam sobie, że dostawałam to, po co przyszłam, gdy zerkałam na niego ukradkiem, jakbym się śpieszyła na jakieś spotkanie w innym miejscu albo jakbym przyszła tam z kimś i wymówiła się na chwilę koniecznością skorzystania z toalety, żeby przyjrzeć się tej rzeźbie w samotności. Ale nie w takiej samotności jak wtedy, gdy wyprawiałam się do muzeum sama, żeby popatrzeć na przerażonego głodującego ojca. Zawsze tam stoi, zniknął tylko raz. Ochroniarz poinformował mnie, że przenieśli go na górę na wystawę tematyczną. Poczułam się wręcz urażona, że inni też tak bardzo chcą go oglądać!

Żałosne.

Słowo to przyszło mi do głowy później, kiedy rozmyślałam o mojej reakcji na tłumaczenie ochroniarza, że rzeźba została przeniesiona na górę. Żałosne, pomyślałam. Przecież nie chcemy być tacy małostkowi. Żałosne. Często przemyka mi to przez głowę. Wszyscy jesteśmy żałośni.

– Kim są ci ludzie? – spytała matka.

Leżałam na wznak z głową zwróconą do okna. Był wieczór, powoli rozbłyskiwały światła miasta. Spytałam ją, co ma na myśli.

– Ci głupi ludzie w tych głupich czasopismach – odpowiedziała. – Żadnego z nich nie znam. Najwyraźniej lubią, jak robi się im zdjęcia, kiedy piją kawę albo są na zakupach.

Przestałam jej słuchać. Najbardziej zależało mi na tym, żeby słyszeć jej głos. Treść nie miała znaczenia. No i wsłuchiwałam się w jej głos. Jeszcze trzy dni temu dawno go nie słyszałam. Teraz brzmiał inaczej. A może inaczej go pamiętałam, bo przedtem jej głos zawsze działał mi na nerwy. Ten był inny – ten przymus mówienia, pośpiech.

– Popatrz – odezwała się. – Smutasku, spójrz na to. Dobry Boże!

Podała mi plotkarskie czasopismo.

– Widziałaś to?

Wzięłam je.

– Nie. To znaczy, widziałam, ale mało mnie to obchodzi.

– Za to mnie obchodzi. Jej ojciec bardzo długo przyjaźnił się z twoim ojcem. Elgin Appleby. Napisali, o, tutaj. „Jej rodzice, Nora i Elgin Appleby". Zabawny facet. Nawet diabła by rozśmieszył.

– Diabła łatwo rozśmieszyć – odparłam.

Spojrzała na mnie.

– Jak tata go poznał?

Był to jedyny moment podczas jej wizyty w szpitalu, kiedy mnie rozzłościła, bo nagle zaczęła swobodnie mówić o ojcu, a kiedyś w ogóle o nim nie mówiła, jeśli już, to o jego furgonetce.

– Kiedy obaj byli młodzi – odpowiedziała. – Kto tam ich zresztą wie. Później Elgin przeniósł się do Maine, żeby pracować na farmie. Nie wiem, dlaczego się wyprowadził. Ale spójrz na nią, na to dziecko, Annie Appleby. Spójrz na nią, Smutasku.

Wskazała ręką na czasopismo, które mi przed chwilą dała.

– Uważam, że wygląda... Sama nie wiem. – Rozparła się na krześle. – Jak wygląda?

– Ładnie?

Nie uważałam, że wygląda ładnie. Jakoś wyglądała, ale nie powiedziałabym, że „ładnie".

– Nie, ładnie nie – powiedziała matka. – Jakoś tak...

Spojrzałam jeszcze raz. Stała obok swojego nowego faceta, aktora z seriali telewizyjnych, które czasami oglądał wieczorem mój mąż.

– Wygląda, jakby sporo w życiu widziała – rzuciłam po namyśle.

– Właśnie. Masz rację. Też tak pomyślałam. – Skinęła głową.

Artykuł był długi i bardziej dotyczył Annie niż jej faceta. Napisali, że wychowała się na plantacji ziemniaków w dolinie St. John w okręgu Aroostook w Maine, nie skończyła ogólniaka,

przystała do trupy teatralnej i tęskni za domem. „Oczywiście, że tęsknię", zacytowano jej wypowiedź. „Codziennie tęsknię za tym pięknem". Na pytanie, czy wolałaby występować w filmach zamiast na scenie, odpowiedziała: „Ani trochę. Uwielbiam występy przed publicznością, choć kiedy jestem na scenie, nie myślę o widzach, wiem tylko, czego oczekują: żebym dobrze dla nich grała".

Odłożyłam czasopismo.

– Jest ładna – powiedziałam.

– Nigdy nie uważałam, żeby była ładna – odpowiedziała matka.

Minęło trochę czasu, zanim dodała:

– Uważam, że to coś więcej. Jest piękna. Ciekawe, jak odbiera sławę.

Najwyraźniej ją to ciekawiło.

Może dlatego, że pierwszy raz po przyjeździe wspomniała o ojcu, a nie tylko o jego furgonetce, a może dlatego, że nazwała cudzą córkę piękną, rzuciłam z nutą ironii w głosie:

– Nie wiedziałam, że obchodzi cię to, jak ktoś odbiera sławę.

Od razu poczułam wyrzuty sumienia. To moja matka, która w nocy odnalazła drogę do piwnicy w tym wielkim, okropnym szpitalu, żeby się przekonać, czy z jej córką wszystko w porządku, dlatego dodałam:

– Ale sama czasami też się nad tym zastanawiam, bo raz zobaczyłam – tu rzuciłam nazwisko znanej aktorki – w Central Parku. Szła sobie, a ja pomyślałam: Jak to jest?

Powiedziałam to, bo znów chciałam być dla niej miła.

Patrząc w okno, matka skinęła głową.

– Nie wiem – powiedziała.

Po paru minutach zamknęła oczy.

Dopiero długo potem pomyślałam, że mogła nie znać tej aktorki, o której wtedy wspomniałam. Po latach mój brat powiedział mi, że o ile mu wiadomo, nigdy nie była w kinie. On też nie był. Co do Vicky, nie wiem.

Malarza, którego znałam na studiach, spotkałam parę lat po tym, jak wyszłam ze szpitala, na wernisażu innego malarza. Był to zły okres w moim małżeństwie. Czułam się upokorzona. Mąż bardzo zbliżył się do kobiety, która przyprowadziła do szpitala moje córki i nie miała własnych dzieci. Poprosiłam, żeby więcej jej do nas nie zapraszał. Zgodził się, ale chyba dobrze pamiętam, że zanim wyszliśmy na wernisaż, pokłóciliśmy się. Pamiętam też, że nie zmieniłam bluzki. Była fioletowa, dziergana. Do tego włożyłam spódniczkę i, w ostatniej chwili, długi granatowy płaszcz męża. On musiał mieć na sobie skórzaną kurtkę. Pamiętam, że byłam zaskoczona, kiedy zobaczyłam tam mojego malarza. On wyraźnie się speszył. Przebiegł wzrokiem po fioletowej dzierganej bluzce i granatowym płaszczu, które mi nie pasowały, kolory się gryzły. Nie byłam tego świadoma, póki nie wróciłam do domu, nie spojrzałam w lustro i nie ujrzałam tego, co widział on. Ale to nieważne. Ważne było moje małżeństwo. A jednak to, że spotkałam mojego malarza, okazało się na tyle istotne, że po wielu latach wciąż mam przed oczami ten długi granatowy płaszcz i odpustową fioletową bluzkę. Wciąż był jedyną osobą,

przy której czułam się skrępowana swoimi strojami – i to było dla mnie dziwne.

Napisałam już wcześniej: Interesuje mnie to, jak znajdujemy sposoby, by czuć się kimś lepszym od innej osoby lub grupy. Tak jest zawsze i wszędzie. Nieważne, jak to nazwiemy, ale uważam, że to najgorsza strona naszej osobowości, ta potrzeba znalezienia kogoś, kogo moglibyśmy poniżyć.

Pisarka Sarah Payne, na którą natknęłam się w butiku, miała wziąć udział w dyskusji panelowej w Nowojorskiej Bibliotece Publicznej. Wyczytałam tę informację w gazecie parę miesięcy po wernisażu. Zdziwiło mnie to. Sarah Payne rzadko występowała publicznie. Wydawało mi się, że bardzo strzeże swojej prywatności. Gdy wspomniałam o tym komuś, o kim wiedziałam, że trochę ją zna, ta osoba odpowiedziała:

– Bez przesady. Po prostu Nowy Jork jej nie lubi.

Przypomniałam sobie wtedy mężczyznę, który określił ją mianem dobrej pisarki, ale podkreślił jej skłonność do rozczulania się. Wybrałam się na tę dyskusję. William nie poszedł ze mną; powiedział, że woli zostać w domu z dziećmi. Było lato i na spotkaniu nie pojawiło się tyle osób, na ile liczyłam. Facet, który powiedział o niej, że jest łzawa, siedział samotnie w ostatnim rzędzie. Dyskusja dotyczyła koncepcji beletrystyki – czym ona jest i tym podobne. Bohaterka jednej z powieści Sarah Payne określiła byłego amerykańskiego prezydenta jako „zdziecinniałego starca, którego żona rządziła krajem za pomocą wykresów astrologicznych". Okazało się, że Sarah dostawała nienawistne

listy od czytelników, którzy pisali, że książka im się podobała do momentu, kiedy trafiali na taką wypowiedź bohaterki o jednym z prezydentów. Prowadzący dyskusję wydawał się tym zaskoczony.

– Naprawdę?

Był pracownikiem Nowojorskiej Biblioteki Publicznej.

– Naprawdę – potwierdziła Sarah.

– Odpisuje pani na takie listy? – spytał prowadzący, z niejaką wprawą dotykając palcami podstawki mikrofonu.

Sarah odparła, że nie odpisuje. Dodała, bynajmniej nie rozpromieniona jak wtedy, gdy natknęłam się na nią w butiku:

– Nie jest moim zadaniem uświadamianie czytelnikom, co jest wypowiedzią bohaterki, a nie osobistą opinią autorki.

Już sam ten komentarz sprawił, że byłam zadowolona, że tam przyszłam. Bibliotekarz najwyraźniej jednak nie zrozumiał.

– Co chce pani przez to powiedzieć? – pytał w kółko, a ona w kółko powtarzała to, co powiedziała przedtem.

– A co należy do zadań pisarza? – spytał prowadzący.

Sarah odparła, że jej zadaniem jest opowiadanie o kondycji człowieka, mówienie, kim jesteśmy, co myślimy i robimy.

Kobieta siedząca na widowni podniosła rękę i spytała:

– Ale czy to jest pani zdanie o naszym byłym prezydencie?

Sarah chwilę odczekała i odpowiedziała:

– Dobrze, powiem państwu. Jeśli kobieta, którą opisałam w powieści, nazywa go zdziecinniałym starcem i mówi, że jego żona rządzi za pomocą wykresów astrologicznych, to powiedziałabym... – Sarah skinęła mocno głową i zawiesiła głos. – Ja, Sarah Payne, obywatelka tego kraju, powiedziałabym, że kobieta, którą w y m y ś l i ł a m , zbyt łatwo go rozgrzesza.

Nowojorska publiczność bywa ostra. Słuchacze zrozumieli, co Sarah Payne miała na myśli. Zaczęli kiwać głowami i szeptać między sobą. Obejrzałam się na mężczyznę z tylnego rzędu. Nie okazał żadnych emocji. Słyszałam, jak po zakończeniu dyskusji mówi do kobiety, która do niego podeszła: „Ona zawsze dobrze wypada na scenie". Moim zdaniem nie powiedział tego w sposób sympatyczny. Wróciłam do domu metrem. Nie był to wieczór, za który kocham to miasto, w którym mieszkam już tak długo. Nie potrafiłabym dokładnie wyjaśnić dlaczego. Umiałabym p r a w i e to wyjaśnić, ale nie do końca.

Tamtego wieczoru zaczęłam pisać tę opowieść, przynajmniej jej fragmenty.

Zaczęłam próbować.

Tamtego wieczoru w szpitalu, kiedy poczułam, że zachowałam się nie w porządku wobec matki, mówiąc jej, że moim zdaniem nigdy nie obchodziło jej, jak to jest być sławnym, nie mogłam zasnąć. Byłam poruszona. Chciało mi się płakać. Kiedy płakały moje dzieci, całkowicie się rozklejałam, całowałam je i dopytywałam, co się stało. Może aż za bardzo. Po kłótniach z Williamem też czasami płakałam. Szybko się przekonałam, że nie jest – w przeciwieństwie do wielu innych – typem mężczyzny, który nie cierpi kobiecego płaczu. Przełamywał w nim wszelki chłód. Kiedy bardzo płakałam, William zawsze mnie tulił i mówił: „Już dobrze, Guziczku, coś wymyślimy". Przy matce nie odważyłam się rozpłakać. Moi rodzice gardzili płaczem, a dziecku, które już się rozpłakało, trudno przestać płakać, bo wie, że jeśli nie zdoła się powstrzymać, będzie jeszcze gorzej. To nie jest łatwa sytuacja dla dziecka. A tamtego wieczoru w szpitalu moja matka była tą samą matką, którą miałam przez całe życie, nawet jeśli wydawała mi się odmieniona z tym jej naglącym cichym głosem i łagodniejszym wyrazem twarzy. I naprawdę starałam się nie rozpłakać. Leżąc w ciemnościach, wiedziałam, że nie śpi.

Nagle poczułam, że ściska mi stopę przez prześcieradło.

– Mamusiu? – odezwałam się, przysiadając w łóżku. – Mamusiu, proszę cię, nie wyjeżdżaj!

– Nigdzie się nie wybieram, Smutasku – uspokoiła mnie. – Jestem przy tobie. Wszystko będzie dobrze. Jeszcze z niejednym zmierzysz się w życiu, jak wszyscy. Niektóre rzeczy przewidziałam, to znaczy miałam przeczucia, chociaż z tobą...

Zacisnęłam powieki. „Tylko, kurwa, nie płacz, idiotko!" Uszczypnęłam się w nogę tak mocno, że aż nie mogłam uwierzyć, jak bardzo to może boleć. I nagle było po wszystkim. Położyłam się na boku.

– Co ze mną? – spytałam, teraz już spokojnie.

– Z tobą nigdy nie wiadomo, na ile się sprawdzą. Ale się sprawdziły.

– Jak wtedy, kiedy wyczułaś, że urodziłam Chrissie?

– Tak. Chociaż nie wiedziałam...

– ...jak ma na imię.

Wypowiedziałyśmy to jednocześnie i miałam w tych ciemnościach wrażenie, że obie się uśmiechnęłyśmy. Matka dodała:

– Śpij, Smutasku, musisz się wyspać. A jeśli nie możesz zasnąć, to przynajmniej odpoczywaj.

Rankiem przyszedł lekarz i zaciągnął zasłonę wokół łóżka. Kiedy zauważył siniak na moim udzie, nie dotknął go, tylko mu się przyjrzał, a potem spojrzał na mnie. Gdy uniósł brwi, ku mojemu przerażeniu z oczu pociekły mi łzy. Dobrodusznie skinął głową, choć dopiero po chwili. Przyłożył mi dłoń do czoła, jakby sprawdzał, czy mam gorączkę, i nie cofnął jej, gdy z moich oczu

ciekły łzy. Raz poruszył kciukiem, jakby jedną chciał zetrzeć. Boże, jakiż on był dobry. Taki dobry człowiek. Uśmiechnęłam się blado w podzięce. To był taki przepraszający uśmiech-grymas.

Skinął głową i powiedział:

– Niedługo zobaczy się pani z dziećmi. Wróci pani do domu, do męża. Póki ja tu czuwam, nie umrze pani, obiecuję.

Zacisnął dłoń w pięść, pocałował ją i machnął mi na pożegnanie.

Sarah Payne prowadziła tygodniowe seminarium w Arizonie. Ku mojemu zaskoczeniu William zaproponował, że mi je opłaci. Było to parę miesięcy po spotkaniu w Nowojorskiej Bibliotece Publicznej. Nie byłam pewna, czy chcę na tak długo rozstawać się z dziećmi, ale mnie przekonał. Seminarium opatrzono hasłem „warsztaty". Nie wiem czemu, ale nigdy nie lubiłam tego słowa. Pojechałam tam, bo prowadziła je Sarah Payne. Kiedy ujrzałam ją w sali, uśmiechnęłam się szeroko, sądząc, że pamięta nasze spotkanie w butiku, ale tylko skinęła głową i po chwili dotarło do mnie, że mnie nie poznała. Może to prawda, że marzymy, by ktoś sławny potwierdził choćby jakimś drobnym gestem, że nas dostrzega.

Zajęcia odbywały się w starym budynku na szczycie wzgórza. Było ciepło i okna były otwarte. Widziałam, że Sarah Payne niemal od razu poczuła się zmęczona. Dostrzegłam to w jej twarzy. Już po godzinie wyglądała, jakby się rozpadła, tak jak glina, która traci kształt, gdy nie jest dość chłodno. Miałam wrażenie, jakby ze znużenia jej twarz przybrała dziwny kształt. Po trzech godzinach wrażenie to jeszcze się spotęgowało.

Wyglądała, jakby ta twarz z gliny niemal się trzęsła. Mam na myśli to, że te zajęcia wszystko z niej wyssały. Zmęczenie spustoszyło jej twarz. Każdy dzień rozpoczynała z iskierką animuszu, lecz po paru minutach pojawiało się zmęczenie. Nie sądzę, bym kiedykolwiek wcześniej ani później widziała twarz, na której tak wyraźnie odmalowywało się znużenie.

W zajęciach uczestniczył mężczyzna, którego żona niedawno zmarła na raka, i zauważyłam, że Sarah jest dla niego miła. Wiedzieliśmy, że mężczyzna ten zakochał się w uczestniczce seminarium, która przyjaźniła się z Sarah. I dobrze. Przyjaciółka nie odwzajemniła jego miłości, ale traktowała go przyzwoicie. Było coś przyzwoitego w tym, jak obydwie traktowały tego mężczyznę cierpiącego po stracie żony. Była tam też nauczycielka angielskiego i bardzo miły Kanadyjczyk o różowych policzkach. Pozostali droczyli się z nim, że jest taki kanadyjski, ale dzielnie to znosił. Wśród uczestników kursu była także psychoanalityczka z Kalifornii.

Teraz opiszę pewne zdarzenie. Przez otwarte okno do sali nagle wskoczył wprost na stół kot. Był duży i ciężki. Właściwie zapamiętałam go jako małego tygrysa. Aż podskoczyłam ze strachu, podobnie jak Sarah Payne. Zerwała się jak oparzona, zupełnie straciła panowanie. Tymczasem kot czmychnął przez drzwi na korytarz. Psychoanalityczka z Kalifornii, która zwykle rzadko się odzywała, spytała wtedy Sarah, moim zdaniem niemal drwiąco:

– Od jak dawna cierpi pani na zespół stresu pourazowego?

Pamiętam wyraz twarzy Sarah. Znienawidziła tę kobietę za to pytanie. Znienawidziła ją. Zapadła cisza na tyle długa, że wszyscy

zdążyli zauważyć jej minę, a przynajmniej tak to zapamiętałam. W końcu ten mężczyzna, który stracił żonę, powiedział:

– Kurde, ten kot był naprawdę wielki.

Później Sarah mówiła dużo o ocenianiu ludzi i o tym, by podchodzić do pisania bez uprzedzeń.

W ramach warsztatów przysługiwały nam prywatne konsultacje. Jestem pewna, że Sarah była nimi bardzo znużona. Ludzie jeżdżą na takie kursy, bo chcą, żeby ktoś ich odkrył i wydał im książkę. Przywiozłam tam ze sobą fragmenty powieści, którą pisałam, ale na indywidualne spotkanie z Sarah zabrałam tylko konspekty scen z matką odwiedzającą mnie w szpitalu, powstałe po dyskusji w bibliotece. Wsunęłam je w przeddzień do jej skrzynki pocztowej. Pamiętam głównie to, że rozmawiała ze mną, jakbyśmy od dawna się znały, choć nie wspomniała ani słowem o naszym spotkaniu w butiku.

– Przepraszam, jestem bardzo zmęczona – powiedziała. – Boże, prawie kręci mi się w głowie.

Pochyliła się i zanim usiadła, dotknęła lekko mojego kolana.

– Podczas rozmowy z poprzednią osobą było mi naprawdę niedobrze – wyznała cicho. – Myślałam, że zwymiotuję. Nie nadaję się do tego.

Po czym dodała:

– Proszę mnie uważnie posłuchać. To, co pani pisze, co chce pani napisać – znów się pochyliła i postukała palcem w konspekt, który jej dałam – jest bardzo dobre i zostanie wydane. A teraz uwaga. Będą się pani czepiać o to połączenie biedy i molestowania. „Molestowanie” to takie idiotyczne i pretensjonalne słowo, ale będą pani mówić, że istnieje bieda bez

molestowania, a pani będzie milczeć. Nie będzie pani bronić swojej powieści. Wie pani, że to opowieść o miłości. O człowieku, który codziennie przeżywa katusze z powodu tego, co robił na wojnie. O żonie, która przy nim trwała, jak większość żon z tego pokolenia, i która przyjeżdża do córki do szpitala i odczuwa przymus mówienia o tym, jak to wszystkie małżeństwa się rozpadają. Robi to bezwiednie, nawet nie wie, że to robi. To opowieść o matce, która kocha swoją córkę, choć nie jest to miłość doskonała. Bo żadna miłość taka nie jest. Ale jeśli pisząc, będzie pani kogoś bronić, to proszę pamiętać, że postępuje pani niewłaściwie.

Ponownie usiadła i zapisała mi tytuły książek, które powinnam przeczytać, w większości klasyczne pozycje literackie. Kiedy wstałyśmy i już miałam wyjść, nieoczekiwanie powiedziała:

– Proszę zaczekać.

Uścisnęła mnie, przystawiła palce do ust i je pocałowała. Przypomniał mi się wtedy mój dobry lekarz.

– Było mi przykro, kiedy ta kobieta spytała panią o stres pourazowy. Ja też aż się wzdrygnęłam.

– Wiem, zauważyłam – odpowiedziała Sarah. – Każdy, kto wykorzystuje taki kurs, żeby kogoś poniżyć, jest zwykłym gówniarzem.

Zmęczona, mrugnęła do mnie i wyszła.

Później już nigdy jej nie spotkałam.

– Powiedz... – odezwała się matka.

Już czwarty dzień siedziała obok mojego łóżka.

– Pamiętasz Marilyn... Jakże ona miała na nazwisko?... Marilyn Mathews czy jakoś tak, nie pamiętam. Marilyn Jakaśtam. Pamiętasz ją?

– Tak, pamiętam. Jasne.

– Jak miała na nazwisko?

– Marilyn Jakaśtam.

– Wyszła za Charliego Macauleya. A jego pamiętasz? Na pewno. Nie? Mieszkał w Carlisle. Był rówieśnikiem twojego brata. On i Marilyn nie chodzili ze sobą w ogólniaku, ale się pobrali. Oboje wyjechali na studia bodajże do Wisconsin, chyba do Madison...

– Charlie Macauley? Zaraz. Taki wysoki. Oni byli w ogólniaku, a ja jeszcze w gimnazjum. Marilyn chodziła do naszego kościoła i pomagała matce przy wydawaniu posiłków na Święto Dziękczynienia.

– Racja! – Matka skinęła głową. – Zgadza się. Marilyn była bardzo miła. Już mówiłam, że była w wieku twojego brata.

Nagle przypomniałam sobie całkiem wyraźnie, jak Marilyn uśmiechnęła się do mnie któregoś dnia, kiedy mijałyśmy się po lekcjach na korytarzu. To był miły uśmiech, jakby było jej mnie żal, ale wyczułam, że wcale nie chce się wywyższać. To dlatego na zawsze ją zapamiętałam.

– Jak to jest, że ją pamiętasz, skoro była od ciebie starsza? – zdziwiła się matka. – Z powodu tych posiłków na Święto Dziękczynienia?

– A dlaczego ty ją zapamiętałaś? Co się z nią stało? I skąd o tym wiesz?

Matka ciężko westchnęła i potrząsnęła głową.

– Zaglądam niekiedy do biblioteki w Hanston. Przyszła tam któregoś dnia jakaś kobieta i wyglądała dokładnie tak jak Marilyn. Powiedziałam: „Kogoś mi pani przypomina, jedną z rówieśniczek moich dzieci". Nie odpowiedziała, a jak wiesz, zawsze mnie to złości.

Nie wiedziałam. Przeżyłam całe życie z tym przekonaniem, że ludzie nas nie zauważają i nie chcą się z nami przyjaźnić.

– Mamo, pieprzyć ich – rzuciłam ze znużeniem.

– Pieprzyć?

– Wiesz, co mam na myśli.

– Widzę, że sporo się nauczyłaś w tym wielkim mieście.

Uśmiechnęłam się do sufitu. Nie znałam nikogo, kto uwierzyłby, że ta rozmowa ma miejsce, a jednak była najprawdziwsza na świecie.

– Mamo, nie musiałam się przenosić do wielkiego miasta, żeby poznać słowo „pieprzyć".

Matka zamilkła, jakby się nad tym zastanawiała, po czym powiedziała:

– Pewnie wystarczyło zajrzeć do obory Pedersonów i posłuchać ich parobków.

– Ci parobkowie znali o wiele gorsze słowa niż „pieprzyć".

– Wyobrażam sobie – przytaknęła matka.

Kiedy to piszę, zastanawiam się kolejny raz, dlaczego jej tego nie powiedziałam. Dlaczego nie powiedziałam: „Mamo, nauczyłam się wszystkich słów w tym p i e r d o l o n y m garażu, który nazywaliśmy domem"? Powstrzymałam się pewnie dlatego, że zachowałam się tak, jak niemal zawsze, czyli tuszowałam czyjeś wpadki, kiedy ten ktoś nie zdawał sobie sprawy, że przynosi sobie wstyd. Robię to chyba dlatego, że często sama tak się zachowuję. Nawet teraz mam niejasną świadomość, że przynosiłam sobie wstyd, i zawsze ma to związek z poczuciem z lat dzieciństwa, że brakowało mi wiedzy o świecie, której nigdy już nie nadrobię. Ale robię to też dla innych, tak jak inni robią to dla mnie. Sądzę, że tamtego dnia zrobiłam to dla mojej matki. Bo któż by nie przysiadł w łóżku i nie spytał: „Mamo, nie pamiętasz?".

Pytałam o to specjalistów. Miłych ludzi, takich jak ten lekarz, nie takich jak ta kobieta, która odezwała się tak złośliwie do Sarah Payne, kiedy ta aż podskoczyła na widok kota. Odpowiadali życzliwie i niemal zawsze tak samo: „Nie wiem, co pamięta twoja matka". Lubiłam ich, bo wydawali się przyzwoici, i dlatego że teraz już potrafię wyczuć szczerość. Oni nie wiedzą, co pamięta moja matka.

Ja też nie wiem, co pamięta.

– Zaczęłam rozmyślać o Marilyn – ciągnęła matka lekko chropawym głosem. – Jeszcze w tym samym tygodniu spytałam wiesz kogo. Ta kobieta pracuje w...

– W ciastkarni Chatwina.

– No, właśnie. Ona wciąż tam pracuje i wie o wszystkim.

– Evelyn.

– Evelyn. Przysiadłam tam, zamówiłam ciastko i kawę i powiedziałam: „Wydawało mi się, że widziałam tu któregoś dnia Marilyn jak-jej-tam. Na co ta Evelyn... Zawsze ją lubiłam...

– Ja też ją uwielbiałam.

Nie powiedziałam, że uwielbiałam ją, bo była dobra dla mojego kuzyna Abla i dla mnie i nigdy nawet słowem nie wspomniała, że widuje nas, jak buszujemy w śmietniku. Matka nie spytała, dlaczego ją uwielbiałam.

– Przestała przecierać ladę i powiedziała: „Biedna Marilyn wyszła za Charliego Macauleya z Carlisle. Zdaje się, że wciąż mieszkają w tej okolicy. Pobrali się jeszcze na studiach. To był bystry chłopak, ale oczywiście tych bystrych zawsze biorą”.

– Kto ich bierze? – spytałam.

– No przecież ten nasz cholerny rząd – odparła matka.

Nie odezwałam się, tylko spojrzałam na sufit. Wiem z doświadczenia, że ludzie, którym władze dają najwięcej – wykształcenie, jedzenie, dopłaty do czynszu – są najbardziej skorzy do krytykowania rządzących. W jakimś sensie to rozumiem.

– Dokąd zabrali tego bystrego męża Marilyn? – spytałam.

– Wzięli go na oficera w czasie wojny w Wietnamie. Pewnie robił tam straszne rzeczy, bo Evelyn uważa, że bardzo się zmienił.

To było na samym początku ich małżeństwa. Bardzo smutna historia.

Leżałam długą, naprawdę długą chwilę z bijącym sercem – pamiętam to bicie do dzisiaj, ten łomot – i myślałam o czymś, co zawsze nazywałam „Tym Czymś", o najbardziej przerażającym elemencie mojego dzieciństwa. Byłam okropnie przerażona, kiedy tam leżałam, przerażona, że matka wspomni o tym po tych wszystkich latach, choć wcześniej nigdy o tym nie napomykała, i w końcu spytałam:

– I co robi w związku z tymi przeżyciami? Źle traktuje Marilyn?

– Nie wiem – odpowiedziała matka. W jej głosie nagle pojawiło się znużenie. – Nie wiem, co robi. Pewnie w dzisiejszych czasach może zwrócić się o pomoc. Przynajmniej teraz ma to jakąś nazwę. Bo w końcu nie był pierwszym, który z powodu wojny przeżył traumę czy jak to tam nazywają.

O ile pamiętam, to ja próbowałam jak najszybciej – jak najszybciej – odwieść nas od tego, do czego matka świadomie bądź nieświadomie zmierzała.

– Nie mogę znieść myśli, że ktoś mógłby źle traktować Marilyn – rzuciłam i dodałam, że tego dnia nie odwiedził mnie jeszcze lekarz.

– Dziś sobota.

– I tak przyjdzie. Zawsze przychodzi.

– W sobotę nie pracuje – upierała się matka. – Życzył ci wczoraj miłego weekendu. Według mnie to dowód na to, że nie pracuje w soboty.

Nagle się przestraszyłam. Przestraszyłam się, że ona ma rację.

– Mamusiu, jestem taka zmęczona. Chcę już wyzdrowieć.

– Wyzdrowiejesz. Widziałam to wyraźnie. Dojdziesz do siebie, choć będziesz miała w życiu parę problemów. Ale najważniejsze, że wyzdrowiejesz.

– Jesteś pewna?

– Całkowicie.

– Jakie będę miała problemy? – spytałam niby żartobliwie, jakby te przyszłe kłopoty w ogóle mnie nie obchodziły.

– Problemy. – Matka zamilkła na chwilę. – Jak większość ludzi, albo niektórzy. W małżeństwie. Z dziećmi wszystko będzie w porządku.

– Skąd wiesz?

– Skąd? Nie mam pojęcia skąd. Nigdy tego nie wiedziałam.

– Wiem – odpowiedziałam.

– Odpocznij, Lucy.

Był początek czerwca i dni były bardzo długie. Dopiero gdy zaczęły rozbłyskiwać światła o zmierzchu, dzięki czemu zyskałyśmy wspaniały widok na miasto, usłyszałam głos dobiegający od drzwi.

– Dziewczyny! – przywitał się.

Mieszkaliśmy w West Village już kilka lat, gdy pierwszy raz wzięłam udział w paradzie Gay Pride, a dla mieszkańców Village ta parada to była duża rzecz. Było to całkiem naturalne. Najpierw sprawa z klubem Stonewall, później to straszne AIDS. Mnóstwo ludzi ustawiało się na chodnikach, żeby wspierać, świętować i opłakiwać tych, którzy odeszli. Trzymałam Chrissie za rękę, a William wziął na ręce Beckę. Staliśmy i patrzyliśmy na mężczyzn paradujących w fioletowych szpilkach, perukach, czasami w sukienkach, a potem na matki i na różne inne rzeczy, które widuje się na takich imprezach w Nowym Jorku.

William powiedział do mnie: „Jezu, Lucy, daj spokój", bo dostrzegł coś w mojej twarzy, ale ja potrząsnęłam głową i ruszyłam w stronę domu. Podążył za mną i powiedział: „Guziczku, teraz sobie przypomniałem".

Był jedyną osobą, której to wyznałam.

Mój brat mógł być wtedy w pierwszej klasie ogólniaka, a może był rok młodszy albo rok starszy. Wciąż mieszkaliśmy w garażu, więc

mogłam mieć jakieś dziesięć lat. Mama zajęła się szyciem i trzymała kilka par szpilek w koszu w kącie. Ten kosz był dla niej tym, czym dla innych kobiet garderoba. Trzymała w nim też staniki, podwiązki i pas, pewnie z myślą o klientkach, które chciały zamówić jakąś przeróbkę, a przyszły bez odpowiedniej bielizny. Mimo że wszystkie kobiety nosiły takie rzeczy, matce nie chciało się ich wkładać, póki nie spodziewała się wizyty klientki.

Tamtego dnia Vicky przybiegła po mnie z krzykiem na szkolne boisko. Nie pamiętam nawet, czy to był dzień powszedni ani dlaczego nie byłyśmy wtedy razem. Pamiętam tylko jej wrzask, zbiegowisko i śmiechy. Ojciec jechał furgonetką główną ulicą miasteczka i krzyczał na mojego brata, idącego w szpilkach, które, jak pamiętałam, leżały wcześniej w koszu, i w staniku naciągniętym na podkoszulkę. Miał na szyi sznur sztucznych pereł, a jego twarz była zalana łzami. Ojciec jechał obok i wrzeszczał, że mój brat jest pierdoloną ciotą i wszyscy powinni się o tym dowiedzieć. Nie mogłam uwierzyć własnym oczom. Chwyciłam Vicky za rękę, choć byłam od niej młodsza, i zaprowadziłam ją do domu. Tam matka powiedziała nam, że nakryła naszego brata na noszeniu jej ubrań, że to obrzydliwe, że ojciec da mu nauczkę i żeby Vicky przestała się drzeć. Zabrałam ją na pola. Siedziałyśmy tam do zmierzchu, dopóki ciemności nie wydały nam się straszniejsze niż nasz dom. Nie jestem pewna, czy to autentyczne wspomnienie, chociaż wydaje mi się, że tak. To znaczy, tak było. Spytajcie każdego, kto nas znał.

Wydaje mi się, że tamtego dnia podczas parady w Village – choć nie jestem tego pewna – pokłóciłam się z Williamem, bo pamiętam, jak powiedział: „Guziczku, tobie nie mieści się to

w głowie, prawda?", miał na myśli to, że nie rozumiem, że ktoś może mnie kochać – że jestem do pokochania. Kiedy się kłóciliśmy, bardzo często to powtarzał. Był jedynym mężczyzną, który nazywał mnie „Guziczkiem", ale nie ostatnim, który mówił: „Tobie nie mieści się to w głowie, prawda?".

W dniu, gdy Sarah Payne powiedziała nam, żebyśmy podchodzili do pisania bez uprzedzeń, jednocześnie przypomniała nam, że nie wiemy i nigdy się nie dowiemy, jak to jest w pełni kogoś zrozumieć. Niby proste, lecz wraz z upływem lat jestem coraz bardziej przekonana, że musiała nam to powiedzieć. Domyślamy się, zawsze tylko się domyślamy, „cóż jest takiego w drugiej osobie, co sprawia, że nią gardzimy, że czujemy się od niej lepsi?". Tamtego wieczoru – pamiętam to lepiej niż to, co opisałam wyżej – ojciec leżał obok mojego brata w ciemnościach, tulił go jak niemowlę i kołysał na kolanach, a ja nie umiałam odróżnić, który z nich płacze, a który szepcze.

– Elvis – rzuciła matka. To było w nocy. W sali panował mrok, jeśli nie liczyć wpadających przez okno świateł miasta.

– Elvis Presley?

– A słyszałaś o innym Elvisie?

– Nie. Powiedziałaś: „Elvis".

Odczekałam.

– Dlaczego powiedziałaś „Elvis", mamo?

– Był sławny.

– Owszem. Tak sławny, że aż przez to umarł.

– Umarł, bo przedawkował leki, Lucy.

– Bardziej chodziło o samotność. To dlatego, że był taki sławny. Pomyśl, nie mógł nigdzie pójść.

Przez dłuższą chwilę matka milczała. Czułam, że naprawdę się nad tym zastanawia.

– Lubiłam jego wczesne piosenki – powiedziała. – Twój ojciec miał go za diabła. Pod koniec życia głupio się ubierał, ale kiedy człowiek usłyszał ten głos, Lucy...

– Mamo, słyszałam jego głos. Nie przypuszczałam, że wiesz cokolwiek na temat Elvisa. Kiedy go słuchałaś?

Znowu długa cisza i odpowiedź matki:

– Był biednym chłopakiem z Tupelo w Missisipi, który kochał swoją mamę. Podoba się biednym ludziom. Biedacy go lubią.

Zawiesiła głos, po czym dodała, pierwszy raz tonem, który znałam z dzieciństwa:

– Ojciec miał rację. To była hołota.

H o ł o t a .

– Teraz to martwa hołota – powiedziałam.

– A pewnie. Leki.

W końcu odrzekłam:

– My byliśmy hołotą. Nikim innym.

Matka odpowiedziała tonem, który znałam z dzieciństwa:

– Lucy „Psiakrew" Barton, nie przyleciałam tu z drugiego końca świata, żebyś mi mówiła, że jesteśmy hołotą. Moi przodkowie i przodkowie ojca byli jednymi z pierwszych przybyszów do tego kraju. Nie przyleciałam tu z drugiego końca świata, żebyś mi mówiła, że jesteśmy hołotą. To byli dobrzy, zacni ludzie. Zeszli na ląd w Provincetown w Massachusetts. Byli rybakami i o s a d n i k a m i . Zakładaliśmy ten kraj. Ci dobrzy dzielni ludzie ruszyli później na Środkowy Zachód. Oto kim jesteśmy. Oto kim t y jesteś. Nigdy o tym nie zapominaj.

Dopiero po dłuższej chwili odpowiedziałam:

– Nie zapomnę.

A potem dorzuciłam:

– Mamo, przepraszam.

Milczała. Czułam, jak kipi ze złości, i czułam, że fakt, iż mi to powiedziała, sprawi, że dłużej zostanę w szpitalu. Czułam to całym ciałem. Chciałam jej powiedzieć: „Wracaj do domu". Wróć do

domu i powiedz wszystkim, że nie byliśmy hołotą, powiedz o tym, jak nasi przodkowie przybyli do tego kraju i wymordowali wszystkich Indian, mamo! Wracaj do domu i im to powiedz.

A może wcale nie chciałam jej tego powiedzieć. Może tylko teraz tak mi się zdaje, kiedy to piszę.

Biedny chłopak z Tupelo, który kochał swoją mamę. Biedna dziewczyna z Amgash, która też kochała swoją mamę.

Użyłam słowa „hołota” tak jak moja matka tamtego dnia w szpitalu, kiedy mówiła o Elvisie Presleyu. Użyłam go w rozmowie z przyjaciółką, którą poznałam niedługo po tym, jak mnie wypisali. To najlepsza przyjaciółka, jaką kiedykolwiek miałam. Po tym, jak ją poznałam i jak matka przyjechała do mnie do szpitala, ta przyjaciółka wyznała mi, że kłóciła się i biła z matką.

– Jak hołota – skomentowałam.

– Byliśmy hołotą – odparła moja przyjaciółka.

Pamiętam, że powiedziała to gniewnie i ze złością – bo dlaczego nie? Nie przyznałam się, jak się wtedy czułam i że nie powinnam była tak do niej powiedzieć. Jest starsza ode mnie, mądrzejsza i pewnie wie – ona też została wychowana w duchu kongregacjonalizmu – że nigdy do tego nie wrócimy. Może zapomniała, ale nie sądzę.

I jeszcze to:

Tuż po tym, jak dowiedziałam się, że przyjęli mnie na studia, pokazałam nauczycielowi angielskiego z ogólniaka opowiadanie, które napisałam. Niewiele z tego pamiętam prócz jednego: nauczyciel zakreślił mi słowo „tandetna". Zdanie brzmiało mniej więcej tak: „Kobieta miała na sobie tandetną sukienkę". „Nie używaj tego słowa. Jest niemiłe i mało precyzyjne", powiedział nauczyciel. Nie jestem pewna, czy dokładnie tak to ujął, ale podkreślił moje słowo i delikatnie dał do zrozumienia, że jest niełądne i niedobre. Zapamiętałam to na zawsze.

– Smutasku? – powiedziała matka.

Był wczesny ranek. Najpierw przyszła Ciasteczko, zmierzyła mi temperaturę i spytała, czy mam ochotę na sok. Kiedy odpowiedziałam, że spróbuję go wypić, wyszła. Mimo że byłam zła, spałam w nocy. Za to matka wyglądała na niewyspaną. Raczej nie była już zła, tylko zmęczona i bardziej przypominała siebie w chwili, gdy zjawiła się w szpitalu.

– Pamiętasz, jak opowiadałam ci o Mississippi Mary?

– Nie. Tak. Zaraz. Chodzi ci o Mary Mumford i niezliczone córki Mumfordów?

– Zgadza się! Wyszła za mąż za Mumforda. Te ich córki! Evelyn z ciastkarni Chatwina często o niej opowiadała. Były spowinowacone. Mąż Evelyn był jej kuzynem, ale szczegółów nie pamiętam. Evelyn nazywała ją „Mississippi Mary". Była biedna jak mysz kościelna. Przypomniałam sobie o niej po tym, jak rozmawiałyśmy o Elvisie. Ona też pochodziła z Tupelo, ale ojciec zabrał ich rodzinę do Carlisle w Illinois i tam dorastała Mary. Nie wiem, dlaczego przenieśli się do Illinois. Jej ojciec pracował tam na stacji benzynowej. Nie mówiła z akcentem z Południa. Biedna

Mary. Za to była śliczna. Była kapitanem drużyny cheerleaderek i wyszła za mąż za Mumforda, kapitana drużyny futbolowej. Chłopak miał forsę.

Głos matki znów stał się zdyszany.

– Mamo...

Machnęła ręką.

– Chcesz usłyszeć ciekawą historię, to posłuchaj. Opisz to. Evelyn powiedziała mi, kiedy poszłam tam porozmawiać o...

– ...Marilyn Jak-jej-tam.

Powiedziałyśmy to równocześnie. Mama zamilkła i się uśmiechnęła. Jak ja ją kochałam, tę moją matkę!

– Posłuchaj. Mississippi Mary wyszła za tego bogatego faceta i urodziła pięć, sześć córek, sama nie wiem. Chyba same dziewczynki. Była bardzo miła. Mieszkali w wielkim domu, w którym jej mąż miał też firmę. Nie wiem, czym się zajmował. W każdym razie wyjeżdżał w interesach i okazało się, że przez trzynaście lat miał romans z sekretarką, grubaską, była naprawdę gruba. Mary w końcu się o tym dowiedziała i dostała zawału.

– Umarła?

– Nie. Nie sądzę.

Matka wyprostowała się na krześle. Wyglądała na zmęczoną.

– To smutne.

– Pewnie, że smutne!

Milczałyśmy przez chwilę, a potem matka powiedziała:

– Pamiętałam ją tylko dlatego, że z tego, co wiem od jej kuzynki Evelyn z ciastkarni Chatwina, u w i e l b i a ł a Elvisa. Urodzili się w tej samej dziurze.

– Mamo...

– Co, Lucy?

Rzuciła mi krótkie spojrzenie.

– Cieszę się, że tu jesteś.

Skinęła głową i znów wyjrzała przez okno.

– Jakie to dziwne. Elvis i Mississippi Mary z biedaków stali się bogaczami i żadnemu z nich nie wyszło to na dobre.

– Pewnie, że nie.

W Nowym Jorku bywam w miejscach, które odwiedzają osoby bardzo zamożne. Jednym nich jest gabinet lekarski. Kobiety i z rzadka mężczyźni siedzą w poczekalni i czekają na lekarkę, która sprawi, że nie będą wyglądać staro, smutno albo jak ich matki. Kilka lat temu poszłam tam, żeby nie wyglądać jak moja matka. Lekarka powiedziała mi, że niemal wszyscy, którzy przychodzą pierwszy raz, mówią, że wyglądają jak ich matki, a nie chcą. Dostrzegałam w mojej twarzy także ojca. Lekarka odparła, że tu też może mi pomóc. Dodała, że ludzie nie chcą wyglądać jak matka, ojciec, a często jak obydwoje rodzice, ale zwykle jak matka. Wbiła cienkie igiełki w zmarszczki wokół moich ust.

– Jest pani piękna – powiedziała. – Jest pani sobą. Proszę przyjść za trzy dni na kontrolę.

Trzy dni później zastałam w poczekalni jakąś okropnie starą kobietę. Była niemal zgięta w pół i miała na sobie pas ortopedyczny. Uśmiechnęła się do mnie. Po zabiegach jej twarz wyglądała na dużo młodszą. Pomyślałam, że jest dzielna. Obok mnie siedział chłopak, pewnie gimnazjalista, ze starszą siostrą. Może czekali na matkę, ale tego nie wiem. Byli bogaci.

Potrafiłabym to wyczuć, nawet gdybym nie przychodziła do gabinetu tej lekarki. Obserwowałam go i jego siostrę. Rozmawiali o tym, żeby zadzwonić do Pipsa. Dziewczyna powiedziała, że na swoim telefonie może wybierać tylko numery krajowe, nie międzynarodowe. Chłopiec starał się być pomocny. Zasugerował, żeby wysłać Pipsowi mail i napisać, żeby do nich zadzwonił. Później obserwowałam, jak przygląda się tej bardzo starej kobiecie. Patrzył na nią z zainteresowaniem. Jej zgięta postać sprawiała, że jawiła mu się jako istota innego gatunku. Wiedziałam, że jest w jego oczach bardzo stara. Byłam zachwycona tym chłopcem i jego siostrą. Byli zdrowi, piękni i dobrzy. Staruszka bardzo powoli ruszyła ku wyjściu. Miała przyczepioną do laski jasnoróżową wstążkę.

Chłopiec zerwał się z krzesła i otworzył jej drzwi.

Niesamowite miasto, ale już to mówiłam.

Tamtego wieczoru w szpitalu – ostatniego, podczas którego czuwała przy mnie matka, a w sumie spędziła tam pięć dni – myślałam o moim bracie. Przypomniałam sobie, jak natknęłam się na grupę chłopców na polu niedaleko szkoły. Miałam wtedy jakieś sześć lat. Zobaczyłam, że toczy się tam bójka, grupa chłopaków biła jednego z nich. To był mój brat. Jego twarz była zmartwiała ze strachu. Nie ruszał się, tylko przykucnął, a tamci go okładali. Widziałam to tylko przez moment, bo odwróciłam się i uciekłam. Przypomniałam sobie też w tamten wieczór w szpitalu, że mój brat nie pojechał na wojnę w Wietnamie, bo wylosował szczęśliwy numer na loterii. Zanim się o tym dowiedział, słyszałam, jak rodzice rozmawiają nocą i jak ojciec mówi: „Wojsko go zabije, nie możemy do tego dopuścić. Wojsko będzie dla niego straszne". Wkrótce potem okazało się, że mój brat wylosował szczęśliwy numer. Ależ ojciec go kochał! Zrozumiałam to tamtej nocy.

Później przypomniałam sobie to: w Święto Pracy ojciec zabrał mnie – nie wiem, dlaczego tylko mnie, nie pamiętam, gdzie było wtedy moje rodzeństwo – do Moline, jakieś czterdzieści mil od

naszego domu. Może miał tam coś do załatwienia, choć trudno mi sobie wyobrazić, cóż takiego mógł mieć do załatwienia mój ojciec gdziekolwiek, a zwłaszcza w Moline. Pamiętam, że zabrał mnie tam na Festiwal Czarnego Jastrzębia i oglądaliśmy indiańskie tańce. Kobiety stały w kręgu wokół mężczyzn i wykonywały tylko drobne kroczki, za to mężczyźni tańczyli z dużo większym animuszem. Ojciec był najwyraźniej zainteresowany tymi tańcami i świętowaniem. Sprzedawali tam kandyzowane jabłka i bardzo chciałam ich spróbować, bo nigdy nie jadłam kandyzowanego jabłka, i ojciec mi je kupił. Kompletnie mnie to zadziwiło. Pamiętam, że nie mogłam ugryźć tego jabłka, nie mogłam wbić małych ząbków w twardą czerwoną skórkę. Byłam niepocieszona. Wtedy ojciec wziął ode mnie jabłko i sam je zjadł, ale był zafrasowany i czułam, że przysporzyłam mu zmartwień. Nie przypominam sobie, żebym później podziwiała tańczących Indian, pamiętam za to, że wpatrywałam się w górującą nade mną twarz ojca i że jego usta zaczerwieniły się od kandyzowanego jabłka, które zjadł, bo musiał. We wspomnieniach kocham go za to, bo mnie nie skrzyczał i nie wypominał, że nie mogę zjeść tego jabłka, tylko je ode mnie wziął i sam je zjadł, nawet jeśli nie sprawiło mu to przyjemności.

Przypomniałam sobie jeszcze, że zainteresowało go to, co tam zobaczył. Okazał z a i n t e r e s o w a n i e . Co myślał o tych tańczących Indianach?

Gdy w mieście zaczęły rozbłyskiwać światła, nagle spytałam:

– Mamusiu, czy ty mnie kochasz?

Matka potrząsnęła głową i spojrzała za okno.

– Smutasku, przestań.

– Daj spokój, mamo, powiedz mi.

Roześmiałam się i ona też.

– Smutasku, na litość boską.

Przysiadłam w łóżku i jak dziecko klasnęłam w dłonie.

– Mamo! Kochasz mnie, kochasz mnie, kochasz?

Wciąż wyglądając przez okno, machnęła ręką.

– Głupia dziewczyna – powiedziała i jeszcze raz potrząsnęła głową. – Głupia, głupia dziewczyna.

Opadłam na łóżko i zamknęłam oczy.

– Mamo, mam zamknięte oczy – powiedziałam.

– Lucy, przestań natychmiast.

Dosłyszałam wesołość w jej głosie.

– No mamo! Zamknęłam oczy.

Na moment zapadła cisza. Byłam szczęśliwa.

– Mamo?

– Kiedy zamkniesz oczy.

– Kochasz mnie, kiedy zamykam oczy?

– Kiedy zamkniesz oczy.

Przerwałyśmy tę zabawę, ale byłam bardzo szczęśliwa...

Sarah Payne powiedziała: „Jeśli w waszej opowieści jest jakiś słaby punkt, zmierzcie się z tym od razu, rozgryźcie to, zanim czytelnik się domyśli. Wtedy zyskacie autorytet". Powiedziała to podczas jednego z tych spotkań, kiedy jej twarz przepełniało znużenie nauczaniem. Pewnie ludzie nie rozumieją, że moja

matka nie umiała wypowiedzieć słów „kocham cię”. Mogą tego nie rozumieć, ale to było w porządku.

Nazajutrz, w poniedziałek, Ciasteczko powiedziała, że muszą mi zrobić jeszcze jedno prześwietlenie. Dodała, że to prosta procedura i wkrótce po mnie przyjadą. Po godzinie wróciłam do sali. Matka machnęła do mnie ręką, a kiedy już ułożyłam się w łóżku, ja machnęłam do niej.

– Bułka z masłem – oznajmiłam.

– Dzielna z ciebie dziewczyna, Smutasku mój – odpowiedziała.

Później obie wyjrzałyśmy za okno.

Jestem pewna, że jeszcze trochę porozmawiałyśmy, ale nagle do sali wpadł lekarz i powiedział:

– Może będzie potrzebna operacja. Może pani mieć zator. Nie podoba mi się to, co zobaczyłem.

– Nie mogę! – powiedziałam i usiadłam w łóżku. – Umrę, jeśli zrobicie mi operację. Proszę zobaczyć, jak schudłam!

– Jest pani chora, ale organizm jest młody i ogólnie zdrowy – odparł lekarz.

Matka wstała.

– Już czas, żebym wróciła do domu.

Lekarz nie wiedział, jak zareagować na uwagę mojej matki. Pamiętam tylko, że obstawał przy kolejnym badaniu, które wykaże, czy trzeba zrobić operację. Mimo że leżałam w szpitalu jeszcze prawie pięć tygodni, nigdy nie spytał mnie o matkę i czy za nią tęsknię. Ani razu nie powiedział, że pewnie było mi miło, że mnie odwiedziła, w ogóle nie wspomniał o niej ani słowem. Dlatego nie powiedziałam temu miłemu lekarzowi, jak strasznie za nią tęsknię i że jej przyjazd był... Właściwie nie umiałabym tego nazwać. W ogóle nic mu na ten temat nie powiedziałam.

Tamtego dnia matka wyjechała. Bała się, że nie złapie taksówki. Poprosiłam jedną z pielęgniarek, żeby jej pomogła, chociaż wiedziałam, że jak dojdzie do Pierwszej Alei, żadna pielęgniarka jej w tym nie pomoże. Do sali przyszli dwaj sanitariusze z wózkiem i opuścili poręcz łóżka. Wytłumaczyłam matce, że ma podnieść rękę i powiedzieć „na La Guardia", jakby często jeździła na lotnisko. Widziałam jednak, że jest przerażona, i sama się przeraziłam. Nie mam pojęcia, czy pocałowała mnie na pożegnanie, ale nie sądzę. Nie przypominam sobie, żeby kiedykolwiek mnie pocałowała. A może i pocałowała, mogę się mylić.

Wspominałam już, że w czasie, o którym tu piszę, AIDS było czymś strasznym. Wciąż jest straszną chorobą, ale wszyscy już do niej przywykli. Niedobrze, że przywykli. Kiedy leżałam w szpitalu, AIDS było czymś nowym i nikt jeszcze nie wiedział, jak powstrzymać jego rozwój. Na drzwiach sal z pacjentami chorymi na AIDS umieszczano żółte nalepki. Wciąż je pamiętam. Żółte nalepki z czarnym napisem. Przypomniały mi się, kiedy później pojechałam z Williamem do Niemiec. Nie było na nich napisane *ACHTUNG!*, ale właśnie tak wyglądały. Przypomniały mi się też żółte gwiazdy Dawida, które naziści kazali nosić Żydom.

Matka wyjechała w pośpiechu, a mnie równie pośpiesznie odwieźli na badanie. Nagle wypchnęli mnie z wielkiej windy i zostawili na wózku pod ścianą w korytarzu na zupełnie innym piętrze. Dziwiłam się, że tak długo muszę czekać. Zostawili mnie w miejscu, z którego widziałam wnętrze sali z tą okropną żółtą naklejką na uchylonych drzwiach. Zobaczyłam tam mężczyznę, bruneta o ciemnych oczach, który leżał w łóżku i – jak mi się zdawało – wciąż się we mnie wpatrywał. Było mi okropnie żal, że on umiera. Wiedziałam, że to jest straszna śmierć. Sama bałam

się śmierci, ale nie byłam chora na AIDS i on to pewnie wiedział, bo gdybym miała tę chorobę, to przecież nie zostawiliby mnie na korytarzu. Wyczuwałam w jego spojrzeniu jakieś błaganie. Próbowałam odwrócić wzrok, żeby nie naruszać jego prywatności, lecz za każdym razem, gdy znów tam spoglądałam, wciąż się we mnie wpatrywał. Czasami zdarza mi się myśleć o ciemnych oczach tamtego mężczyzny leżącego na łóżku, który – tak to zapamiętałam – patrzył na mnie z rozpaczliwym błaganiem. Od tamtego czasu byłam świadkiem śmierci paru osób, co jest naturalne w miarę, jak się starzejemy, i nauczyłam się rozpoznawać ten palący wzrok, ostatnie światło, które gaśnie w ludzkim ciele. Tamten mężczyzna w jakiś sposób mi wtedy pomógł. Jego spojrzenie mówiło: „Nie odwrócę wzroku”. Bałam się go, bałam się śmierci, bałam się wyjazdu matki. A on nie odwrócił wzroku.

Nie przeszłam kolejnej operacji. Lekarz przeprosił za to, że mnie nastraszył, ale tylko potrząsnęłam głową, żeby pokazać, iż wiem, że kocha mnie na swój lekarski sposób i robi wszystko, żeby utrzymać mnie przy życiu. Co piątek powtarzał to, co powiedział też przy mojej matce: „Miłego weekendu, w miarę możliwości". Pojawiał się też w każdą sobotę i niedzielę, przekonując, że musiał odwiedzić innego pacjenta i przy okazji zajrzał też do mnie. Nie przyszedł tylko w Dzień Ojca. Jakże zazdrościłam jego dzieciom! Dzień Ojca! Oczywiście nie poznałam jego dzieci. Słyszałam tylko, że jego syn też został lekarzem. Parę lat później w trakcie wizyty w jego gabinecie wyznałam mu, że martwię się, iż jedna z moich córek nie ma zbyt wielu przyjaciół. Dał mi wtedy dobrą radę. Powiedział, że jedna z jego własnych córek też się z tym borykała, a teraz ma więcej znajomych niż jego pozostałe dzieci. To samo okazało się w przypadku mojej córki. Kiedy miałam problemy w małżeństwie i mu o tym napomknęłam, mój miły lekarz bardzo się tym przejął. Widziałam to wyraźnie. Niestety nie miał dla mnie żadnej dobrej rady. Ale przez te dziewięć tygodni wiosny i lata, już tak dawno temu – przez

dziewięć tygodni minus jeden dzień, Dzień Ojca – człowiek ten, mój uroczy lekarz-ojciec, widywał mnie codziennie, czasami dwa razy dziennie. Kiedy mnie wypisali i przyszły rachunki ze szpitala, obciążył mnie jedynie za pięć wizyt. To też chcę odnotować.

Martwiłam się o matkę. Nie zadzwoniła, żeby potwierdzić, że szczęśliwie dotarła do domu, a telefon przy łóżku służył wyłącznie do połączeń lokalnych. Mogłam zadzwonić na koszt abonenta, ale to oznaczało, że tego, kto odbierze telefon w domu mojego dzieciństwa, spytają, czy zechce pokryć koszt rozmowy. Tak to działało. Pani z centrali spyta: „Czy zgadza się pani/pan pokryć koszt rozmowy z Lucy Barton?". Tylko raz skorzystałam z tej formy połączenia, kiedy byłam w ciąży z drugą córką i poróżniłam się z Williamem, nie pamiętam już o co. Zatęskniłam wtedy do matki, do ojca i nawet do tego samotnego drzewa na polu kukurydzy mej młodości. Zatęskniłam tak bardzo i boleśnie, że wjechałam z wózkiem z małą Chrissie do budki telefonicznej przy parku Washington Square i zadzwoniłam do rodziców. Odebrała matka. Pani z centrali powiedziała, że ma na linii Lucy Barton z Nowego Jorku, i spytała, czy matka pokryje koszt rozmowy. Matka odpowiedziała: „Nie. Proszę jej przekazać, żeby wydawała własne pieniądze". Rozłączyłam się, zanim pani z centrali zdążyła mi to powtórzyć. Dlatego tamtego wieczoru w szpitalu nie zadzwoniłam do rodziców, żeby się upewnić, czy matka dotarła do

domu. William zadzwonił do nich z naszego mieszkania w Village, bo go o to poprosiłam. Później potwierdził, że bezpiecznie dojechała do domu.

– Powiedziała coś jeszcze? – spytałam.

Było mi okropnie smutno. Tak smutno jak dziecku, a dzieci bywają bardzo smutne.

– Guziczku... Nie, Guziczku – odpowiedział mój mąż.

Tydzień później odwiedziła mnie moja przyjaciółka, Molla. Usiadła przy wezgłowiu, bardzo blisko, i rzuciła:

– Miło, że twoja matka przyjechała.

Kiedy przytaknęłam, wyznała mi, że strasznie nienawidzi swojej matki, i opowiedziała całą tę historię od początku, jakby nie zrobiła tego wcześniej. Mówiła o tym, jak bardzo jej nienawidzi, i o tym, że kiedy rodziła dzieci, musiała chodzić do psychiatry, bo była przygnębiona tym wszystkim, czego nie dostała od własnej matki. Molla powtórzyła mi to tamtego dnia i kiedy teraz o tym piszę, przypomina mi się coś, co powiedziała Sarah Payne podczas seminarium w Arizonie. „Będziecie mieli tylko jedną historię do opowiedzenia. Będziecie ją opisywać na różne sposoby. Nigdy nie przejmujcie się historią, bo macie tylko jedną".

Uśmiechałam się do Molli, kiedy mi to opowiadała, bo bardzo się cieszyłam, że ją widzę. Na koniec spytałam ją o moje córki – czy są bardzo smutne, że mnie tam nie ma? Jej zdaniem Chrissie zdawała się lepiej to rozumieć, co naturalne, bo była starsza. Molla odbyła z nią długą rozmowę na schodach kamienicy.

Chrissie tłumaczyła jej, że mamusia zachorowała, ale że już jest lepiej.

– Potwierdziłaś, że czuję się lepiej? – upewniłam się, próbując przysiąść w łóżku. Molla przytaknęła. Uwielbiałam ją za to, za jej troskę o moją ukochaną Chrissie. Spytałam ją, co u Jeremy'ego.

Odpowiedziała, że ostatnio go nie widziała, pewnie wyjechał. Powiedziałam, że mój mąż też tak uważa.

Później opowiedziała mi o innych matkach, które spotykała w parku. Jedna przeprowadzała się na przedmieścia, a druga w górę Manhattanu.

Kiedy Molla wyszła, byłam umęczona, ale cieszyłam się, że mnie odwiedziła. Podziękowałam jej za to. Odparła, że nie ma sprawy, pochyliła się i pocałowała mnie w czoło.

Odwiedził mnie mąż. Pewnie to był weekend, myślę, że to musiało być w weekend. Wyglądał na bardzo zmęczonego i prawie się nie odzywał. Był postawnym mężczyzną, ale położył się obok mnie na moim delikatnym łóżku i przeczesał ręką swoje blond włosy. Włączył wiszący pod sufitem telewizor. Zapłacił, żebym go miała, ale kiedy dorastałam, nie mieliśmy telewizora i właściwie nigdy nie rozumiałam telewizji. W szpitalu rzadko go włączałam, bo kojarzył mi się z chorymi. Kiedy kazali mi spacerować po korytarzach, żebym zażyła trochę ruchu, ciągnąc za sobą kroplówkę, widziałam, że większość pacjentów wpatruje się w telewizory, i bardzo mnie to przygnębiało. A jednak mój mąż go włączył i położył się koło mnie na łóżku. Chciałam rozmawiać, ale był zmęczony. Leżeliśmy w milczeniu.

Mój lekarz się zdziwił, kiedy go zobaczył. A może wcale się nie zdziwił, ale sprawiał takie wrażenie. Powiedział, że to miłe, że znów możemy pobyć razem. Pamiętam, że poczułam ukłucie w głowie i nie wiedziałam dlaczego. Człowiek dowiaduje się dopiero później.

Mąż odwiedził mnie nie tylko ten jeden raz, ale właśnie tamtą wizytę zapamiętałam i dlatego ją opisuję. To nie jest opowieść o moim małżeństwie. Tej historii nie umiem opowiedzieć; nie umiem uchwycić ani nikomu opisać licznych grzęzawisk, traw czy świeżych i zatęchłych podmuchów powietrza, których nie udało nam się ominąć. Ale mogę powiedzieć jedno: matka miała rację. Miałam kłopoty w małżeństwie. Kiedy nasze córki miały dziewiętnaście i dwadzieścia lat, porzuciłam ich ojca i każde z nas wzięło ślub z kimś innym. Bywają dni, gdy czuję, że kocham go bardziej niż w czasach, kiedy byliśmy małżeństwem, ale łatwo tak myśleć, kiedy jesteśmy od siebie wolni, choć nie jesteśmy i nigdy nie będziemy. Zdarzają się jednak też takie dni, kiedy widzę wyraźnie, jak siedzi przy biurku w gabinecie, a dziewczynki bawią się w swoim pokoju i prawie chce mi się krzyczeć: „Byliśmy rodziną!". Myślę teraz o telefonach komórkowych, o tym, jak szybko możemy się skontaktować. Pamiętam, że kiedy dziewczynki były małe, powiedziałam do Williama: „Chciałabym mieć coś takiego, co nosilibyśmy jak zegarek na ręku, i przez cały czas moglibyśmy powiadamiać się nawzajem, gdzie jesteśmy".

Tamtego dnia, gdy odwiedził mnie w szpitalu i prawie nie rozmawialiśmy, być może dowiedział się, że ojciec zostawił mu niemałą sumę na koncie w pewnym szwajcarskim banku. Jego dziadek wzbogacił się na wojnie i wpłacił niemałą sumę na konto w pewnym szwajcarskim banku i teraz, kiedy William skończył trzydzieści pięć lat, pieniądze nagle stały się jego własnością. Dowiedziałam się o tym później, już po powrocie do domu.

William musiał czuć się dziwnie, myśląc o tym, czym są te pieniądze i co one oznaczają, a był człowiekiem, któremu zawsze z trudnością przychodziło mówić o uczuciach, więc położył się koło mnie na łóżku, koło kogoś – jak żartowaliśmy przez lata, a może tylko ja żartowałam – kto „przyszedł z niczym".

Kiedy poznałam przyszłą teściową, byłam zaskoczona. Ich dom wydał mi się ogromny i ładnie urządzony, ale wraz z upływem lat przekonałam się, że wcale tak nie było. Był to po prostu miły dom ludzi z klasy średniej. Z uwagi na to, że teściowa była żoną farmera z Maine, a zawsze myślałam, że farmy w Maine są mniejsze niż te na Środkowym Zachodzie, wyobrażałam sobie, że wygląda jak żony parobków. Tymczasem wcale tak nie wyglądała. Wyglądała ładnie i na tyle lat, ile miała – a miała pięćdziesiąt pięć. Ze swobodą poruszała się po swoim miłym domu, jak kobieta, która jest żoną inżyniera. Kiedy ją poznałam, zaproponowała: „Lucy, pojedźmy po zakupy, trzeba ci kupić jakieś ubrania". Nie obraziłam się, tylko lekko zdziwiłam, bo jeszcze nikt nie zaproponował mi czegoś takiego. Pojechałam z nią i kupiła mi trochę ubrań.

Podczas skromnego wesela przedstawiła mnie przyjaciółce.

– To jest Lucy – powiedziała, po czym dodała niemal figlarnie: – Przyszła tu z niczym.

Nie obraziłam się i, szczerze, wciąż nie czuję się urażona, ale myślę sobie, że na tym świecie nikt nie przychodzi z niczym.

I jeszcze to: odkąd wypisali mnie ze szpitala, miałam powracający sen, że ja i moje dzieci mieliśmy być zamordowani przez nazistów.

Nawet teraz, po wielu latach, pamiętam te sny. Przebywałam z moimi córkami w pomieszczeniu przypominającym szatnię. Obie były bardzo małe. W tym śnie wiedziałam – wszyscy wiedzieliśmy, bo w tej szatni były jeszcze inne osoby – że nas stamtąd zabiorą i zamordują. Początkowo myśleliśmy, że to pomieszczenie to komora gazowa, ale potem zrozumieliśmy, że naziści zabiorą nas do innej sali i dopiero to będzie komora gazowa. Śpiewałam moim dzieciom, tuliłam je do siebie i one się nie bały. Zabrałam je w kąt pomieszczenia, z dala od innych. Sytuacja była następująca: pogodziłam się ze śmiercią, ale nie chciałam, żeby moje córki się bały. Byłam przerażona, że mi je odbiorą i być może zostaną adoptowane przez Niemców, bo wyglądały jak małe aryjskie dzieci, którymi były. Nie mogłam znieść myśli, że będą dręczone, a miałam w tym śnie poczucie – pewność – że będą dręczone. To przerażający sen. Na tym się kończył. Nie pamiętam, ile lat go śniłam, ale powracał, kiedy mieszkałam w Nowym Jorku, gdzie żyliśmy całkiem dostatnio i moje dzieci zdrowo się chowały. Nigdy nie powiedziałam mężowi o tym śnie.

Wysłałam list do matki. Napisałam, że ją kocham, i podziękowałam za odwiedziny w szpitalu. Dodałam, że nigdy tego nie zapomnę. W odpowiedzi przysłała mi kartkę ze zdjęciem wieżowca Chryslera nocą na odwrocie. Nie mam pojęcia, skąd wytrzasnęła ją w Amgash w Illinois, ale mi ją wysłała i napisała: „Ja też nigdy nie zapomnę". Na dole widniał podpis „M.". Położyłam pocztówkę na stoliku przy łóżku koło telefonu i często na nią spoglądałam. Podnosiłam ją i trzymałam w dłoni, wpatrując się w pismo matki, teraz już mi nieznane. Wciąż mam tę kartkę ze zdjęciem wieżowca Chryslera nocą, którą mi przysłała.

Kiedy mogłam już wyjść ze szpitala, okazało się, że buty nie pasują. Nie zdawałam sobie sprawy, że utrata wagi oznacza chudnięcie całego ciała, a rzecz jasna tak się właśnie stało i buty były za duże. Położyłam kartkę na dnie plastikowej torby, którą dostałam na rzeczy. Wróciłam z mężem taksówką do domu. Pamiętam, że świat, który ujrzałam przed szpitalem, wydał mi się bardzo jasny – przerażająco jasny – i się przelękłam. W pierwszą noc dziewczynki chciały koniecznie spać ze mną, ale William się

nie zgodził. Moje dwie córeczki poleżały tylko ze mną na łóżku. Dobry Boże, jakaż byłam szczęśliwa, że je widzę. Tak bardzo urosły. Becka miała okropną fryzurę. Do jej włosów przylepiła się guma, więc przyjaciółka rodziny postanowiła je obciąć, ta, która nie miała własnych dzieci i przywiozła moje córki do szpitala.

Jeremy.

Nie wiedziałam, że jest gejem. Nie wiedziałam, że jest chory. Nie, stwierdził mój mąż, nie wyglądał na chorego, tak jak inni. Odszedł – umarł – kiedy mnie nie było. Długo płakałam. To był cichy płacz. Siedziałam na schodach przed kamienicą, a Becka głaskała mnie po głowie. Od czasu do czasu przysiadała się Chrissie i obejmowała mnie swoimi małymi rączkami, po czym obydwie znów zaczynały skakać w górę i w dół po schodach. Przyszła Molla i powiedziała: „Boże, słyszałaś już o Jeremym". Dodała, że to okropne, straszne, co przydarza się mężczyznom. I kobietom, dorzuciła. Siedziała przy mnie, a ja płakałam.

Tak często – t a k c z ę s t o – myślałam o mężczyźnie ze szpitala za drzwiami z żółtą nalepką, którego widziałam w dniu, kiedy wyjechała matka, a mnie zostawili na korytarzu przed jego salą. O tym, jak błagalnie i rozpaczliwie patrzył na mnie swoimi ciemnymi roziskrzonymi oczami. I nie pozwalał mi odwrócić wzroku. Równie dobrze to mógł być Jeremy. Wiele razy myślałam: „Sprawdzę datę i miejsce jego śmierci, na pewno mają to w aktach". Ale nigdy tego nie zrobiłam.

Kiedy wróciłam do domu, było lato i nosiłam sukienki bez rękawów. Nie zdawałam sobie sprawy, jak bardzo schudłam. Widziałam, jak ludzie przyglądają mi się z lękiem, kiedy idę ulicą po jedzenie dla dzieci. Byłam wściekła, że patrzą na mnie zalęknieni. Przypomniało mi się, jak dzieci ze szkolnego autobusu patrzyły na mnie z niepokojem, że mogę się do nich przysiąść.

Wycieńczeni i wychudzeni mężczyźni wciąż chodzili po ulicach.

Kiedy byłam mała, chodziliśmy całą rodziną do kościoła kongregacjonalistów. Byliśmy tam wyrzutkami, jak wszędzie. Lekceważyła nas nawet nauczycielka ze szkółki niedzielnej. Raz, kiedy się spóźniłam, wszystkie miejsca były zajęte. Powiedziała wtedy: „Lucy, usiądź na podłodze". W Święto Dziękczynienia chodziliśmy do przykościelnej świetlicy, gdzie dostawaliśmy posiłek. W ten dzień wszyscy byli dla nas milsi. Marilyn, którą matka wspominała w szpitalu, czasami przychodziła tam ze swoją matką, podawała nam fasolkę szparagową z sosem i kładła na stole bułki i małe plastikowe pojemniczki z masłem. Chyba nawet inni ludzie siadali z nami przy stole, bo nie przypominam sobie, żeby ktoś nami wtedy gardził. Przez lata w Święto Dziękczynienia jeździliśmy z Williamem do nowojorskich przytulisk i serwowaliśmy jedzenie, które tam przywoziliśmy. Nigdy nie miałam wrażenia, że oddaję to, co kiedyś dostałam. Miałam raczej poczucie, że przywieziony przez nas indyk albo szynka nagle w tych przytuliskach wydają się bardzo małe – choć nie były to obszerne pomieszczenia. W Nowym Jorku nie karmiliśmy kongregacjonalistów. Często były to osoby o innym kolorze skóry,

a czasami umysłowo chorzy. Któregoś razu William powiedział: „Dłużej tego nie wytrzymam”. „W porządku”, odpowiedziałam i też przestałam to robić.

Co innego ci, którzy marzną! Tego nie mogę znieść! Przeczytałam w gazecie artykuł o parze staruszków z Bronxu, których nie stać było na ogrzewanie i dlatego siedzieli w kuchni z włączonym piecykiem. Co roku daję pieniądze, żeby ludzie nie marzli. William też. Pisanie o tym, że daję pieniądze, żeby ludziom było ciepło, krępuje mnie. Matka powiedziałaby: „Przestań się głupkowato przechwalać, Lucy »Psiakrew« Barton...”.

Mój miły lekarz uprzedził, że przybranie na wadze w moim przypadku może trochę potrwać. Okazało się, że miał rację, chociaż nie pamiętam, jak długo mi to zajęło. Chodziłam do niego na kontrole początkowo co dwa tygodnie, potem raz na miesiąc. Starałam się wyglądać ładnie. Pamiętam, jak mierzyłam różne stroje i przeglądałam się w lustrze, żeby sprawdzić, co zobaczy mój lekarz. Niektórzy pacjenci czekali w poczekalni, a inni przebywali w gabinetach zabiegowych, aż w końcu trafiali do jego gabinetu. Działało to jak coś w rodzaju taśmociągu z najróżniejszym materiałem ludzkim. Zastanawiałam się, ile zadków obejrzał ten lekarz i jak bardzo musiały się od siebie różnić. Zawsze czułam się przy nim bezpieczna, czułam, że troszczy się o moją wagę i w ogóle o moje zdrowie. Któregoś dnia czekałam na wejście do jego gabinetu. Stałam oparta o ścianę przy drzwiach, w niebieskiej sukience i czarnych rajstopach. Akurat rozmawiał z jakąś staruszką. Była bardzo starannie ubrana. To nas łączyło – do lekarza idziemy czyste i ładnie ubrane. Staruszka oświadczyła:

– Mam wzdęcie. To takie krępujące. Co mogę zrobić?

– Ciężka sprawa – odpowiedział lekarz i współczująco pokiwał głową.

Przez lata moje córki mówiły „ciężka sprawa” o wszystkim, co sprawiało im kłopot, bo wielokrotnie słyszały, jak opowiadałam tę historyjkę.

Nie pamiętam, kiedy ostatni raz widziałam tego lekarza. Byłam u niego parę razy w ciągu kilku lat po wypisaniu ze szpitala. Później, kiedy chciałam umówić się na wizytę, usłyszałam, że przeszedł na emeryturę i może mnie przyjąć jego kolega. Mogłam napisać mu w liście, jak wiele dla mnie znaczył, ale w moim życiu pojawiły się problemy i miałam kłopoty z koncentracją. Nigdy do niego nie napisałam i nigdy go już nie spotkałam. Ten miły, uroczy człowiek po prostu zniknął, ta moja bratnia dusza ze szpitala sprzed tylu lat rozpłynęła się. To też jest nowojorska opowieść.

Podczas zajęć z Sarah Payne przyszła do nas kursantka z innej grupy. To było pod koniec zajęć i uczestnicy seminarium czasami przychodzili, żeby porozmawiać z Sarah. Ta kursantka weszła i powiedziała:

– Naprawdę lubię pani książki.

Sarah podziękowała i siedząc przy stole, zaczęła pakować swoje rzeczy.

– Szczególnie tę o New Hampshire – ciągnęła kursantka.

Sarah skinęła głową i zdawkowo się uśmiechnęła. Kobieta skierowała się do wyjścia, jakby zamierzała podążyć za Sarah, i dorzuciła:

– Kiedyś znałam kogoś z New Hampshire.

Wydawało mi się, że Sarah to rozbawiło.

– Ach, tak?

– Tak. Janie Templeton. Nie zna jej pani?

– Nie.

– Jej ojciec był pilotem w liniach lotniczych. W Pan Am, czy jak one się wtedy nazywały – powiedziała kursantka, która nie była młoda. – Przeżył załamanie nerwowe. Zaczął chodzić po domu

i się masturbować. Ktoś powiedział mi później, że Janie to zobaczyła... Mogła być wtedy w ogólniaku, chociaż nie wiem. Jej ojciec zaczął chodzić po domu i kompulsywnie się onanizował.

Zmroziło mnie w arizońskim upale. Dostałam gęsiej skórki.

Sarah wstała.

– Mam nadzieję, że nie pilotował zbyt wielu samolotów. – Dostrzegła mnie i skinęła głową. – Do jutra.

Nigdy przedtem ani nigdy potem nie słyszałam, że „To Coś" – jak to w duchu nazywałam – zdarzyło się nie tylko w naszym domu.

Bodajże następnego dnia Sarah Payne mówiła nam, żeby podchodzić do pisania z sercem tak otwartym jak serce Boga.

Później, kiedy wyszła moja pierwsza książka, poszłam do lekarki. Była najcudowniejszą kobietą, jaką kiedykolwiek spotkałam. Napisałam na kartce to, co powiedziała tamta kursantka o Janie Templeton z New Hampshire. Opisałam rzeczy, które zdarzyły się w domu mojego dzieciństwa. Opisałam rzeczy, które odkryłam w czasie mojego małżeństwa. Opisałam rzeczy, których nie mogłam wypowiedzieć. Ta lekarka przeczytała je wszystkie i powiedziała:

– Dziękuję, Lucy. Wszystko będzie dobrze.

Widziałam matkę tylko raz po tym, jak przyjechała do mnie do szpitala. Było to prawie dziewięć lat później. Dlaczego jej nie odwiedziłam? Dlaczego nie odwiedziłam ojca, brata i siostry, kuzynek i kuzynów, których nigdy nie widziałam? Mówiąc zwyczajnie, tak było łatwiej. Mąż nie chciał tam ze mną jechać i trudno mu się dziwić. Wiem, że to wymówka, ale rodzice, siostra i brat nigdy do mnie nie pisali i nie dzwonili, a kiedy ja dzwoniłam do nich, były to zawsze trudne rozmowy. Zdawało mi się, że wyczuwam w ich głosach złość, chroniczną niechęć, jakby chcieli mi powiedzieć: „Nie jesteś jedną z nas", jakby mój wyjazd był zdradą. I pewnie był. Dzieci dorastały, wciąż czegoś potrzebowały. Te dwie czy trzy godziny dziennie, które poświęcałam pisaniu, były dla mnie niezwykle ważne. Później rozpoczęły się przygotowania do publikacji mojej pierwszej książki.

Tymczasem matka zachorowała i teraz to ja weszłam do jej sali w szpitalu w Chicago, żeby siedzieć obok łóżka. Chciałam dać jej

to, co ona dała mnie, stałą rozbudzoną obecność, którą ofiarowała, czuwając przy mnie.

Ojciec przywitał się, kiedy wysiadłam ze szpitalnej windy. Nie poznałabym go, gdyby nie wdzięczność za to, że przyjechałam, żeby mu pomóc, którą dostrzegłam w oczach tego nieznajomego mężczyzny. Wyglądał dużo starzej, niż mogłabym się spodziewać, i gniew, jaki czułam – albo jaki czuł on – najwyraźniej nas opuścił. Zniknęło obrzydzenie, jakie do niego żywiłam przez większość życia. Był staruszkiem w szpitalu, a jego żona miała wkrótce umrzeć. „Tatusiu", odezwałam się, wpatrując się w niego. Miał na sobie pogniecioną koszulę z kołnierzykiem i dżinsy. Myślę, że był zbyt onieśmielony, żeby mnie uściskać, więc ja uścisnęłam jego i przypomniałam sobie jego ciepłą dłoń na mojej głowie. Ale tam, w szpitalu, nie objął mnie za głowę i jakiś głos wewnątrz mnie, gdzieś bardzo głęboko, szepnął: „Odeszło".

Matka cierpiała. Umierała. Najwyraźniej nie byłam w stanie w to uwierzyć. Moje córki były wtedy nastolatkami i martwiłam się zwłaszcza o Chrissie, o to, czy nie pali za dużo trawki. W związku z tym często do nich dzwoniłam. Drugiego wieczoru, kiedy tam siedziałam, matka wyszeptała:

– Lucy, musisz coś dla mnie zrobić.

Wstałam i do niej podeszłam.

– Dobrze. Powiedz tylko co.

– Musisz wyjechać.

Powiedziała to łagodnie, nie usłyszałam w jej głosie złości, jedynie stanowczość. Wpadłam w panikę.

Chciałam powiedzieć: „Jeśli wyjadę, już nigdy cię nie zobaczę. Nasze relacje nie były łatwe, ale nie każ mi wyjeżdżać, bo nie

zniosę tego, że już nigdy cię nie zobaczę!”.

– Dobrze, mamo – odpowiedziałam. – Jutro?

Spojrzała na mnie, wykrzywiła usta, do jej oczu napłynęły łzy.

– Teraz, skarbie. Proszę cię – szepnęła.

– Mamusiu...

– Smutasku, proszę cię.

– Będę tęsknić – powiedziałam.

Rozpłakałam się i wiedziałam, że tego nie zniesie.

– Tak, będziesz tęsknić.

Pochyliłam się i ucałowałam jej włosy, zmatowiałe przez chorobę i leżenie w łóżku. Później odwróciłam się, zabrałam rzeczy i już się nie obejrzałam, ale kiedy wyszłam na korytarz, nie miałam siły odejść. Nie obracając głowy, cofnęłam się.

– Mamusiu, kocham cię! – zawołałam.

Stałam twarzą do korytarza, ale jej łóżko było tuż obok i jestem pewna, że to usłyszała. Czekałam. Żadnej odpowiedzi, żadnego dźwięku. Powtarzam sobie, że mnie słyszała. Powtarzam to sobie – powtarzałam – wiele razy.

Od razu poszłam do pokoju pielęgniarek i poprosiłam:

– Błagam, nie pozwólcie jej cierpieć.

Obiecały, że nie pozwolą. Nie uwierzyłam im. Kiedy wycinali mi wyrostek, w mojej sali leżała umierająca kobieta. Ona cierpiała. Błagałam je, ale dostrzegłam w ich oczach totalne zmęczenie ludzi, którzy w żaden sposób nie są w stanie nikomu pomóc.

Ojciec siedział w poczekalni. Kiedy zauważył, że płaczę, zdecydowanie potrząsnął głową. Usiadłam obok i szeptem przekazałam mu to, co powiedziała matka, że kazała mi wyjechać.

– Kiedy będzie nabożeństwo? – spytałam. – Tato, powiedz mi koniecznie kiedy, od razu przyjadę.

Odparł, że nabożeństwa nie będzie.

Zrozumiałam. Czułam, że rozumiem.

– Ale przecież ludzie by przyszli – nalegałam. – Miała klientki, dla których szyła.

Ojciec potrząsnął głową.

– Bez nabożeństwa – powtórzył.

No i nie było nabożeństwa.

Rok później, kiedy umarł na zapalenie płuc, po jego pogrzebie też nie było nabożeństwa. Nie pozwolił mojemu bratu zawieźć się do lekarza. Poleciałam tam, żeby go odwiedzić tuż przed jego śmiercią. Zatrzymałam się w domu, którego nie widziałam tyle lat. Przeraził mnie, jego woń i ciasnota, i jeszcze to, że ojciec był ciężko chory, a matka umarła. Umarła!

– Tato – powiedziałam, przysiadając obok niego na łóżku. – Tatusiu, tatusiu, tak mi przykro. Przykro mi, tato.

Ścisnął moją dłoń. Miał taki wodnisty wzrok i cienką skórę.

– Lucy, zawsze byłaś dobrą dziewczyną – powiedział. – Zawsze byłaś taka dobra.

Jestem prawie pewna, że właśnie to mi powiedział. Wydaje mi się, chociaż nie na sto procent, że moja siostra wyszła wtedy z pokoju. Ojciec umarł jeszcze tej samej nocy, a właściwie wczesnym rankiem następnego dnia, o trzeciej. Czuwałam przy nim sama i gdy nagle zapadła całkowita cisza, wstałam, spojrzałam na niego i powiedziałam:

– Tato, przestań! Przestań, tato!

Kiedy wracałam do Nowego Jorku po odwiedzinach u ojca – i u matki rok wcześniej – po tym, jak zobaczyłam się z nimi ostatni raz, świat wydał mi się inny. Mąż wydał mi się obcym człowiekiem, a nastoletnie córki wydały mi się zbyt obojętne na wszystko, co je otacza. Byłam naprawdę zagubiona. Wciąż odczuwałam panikę, jakby rodzina Bartonów, cała nasza piątka – taka zwichrowana – tworzyła strukturę, o której istnieniu nawet nie wiedziałam, póki się nie rozpadła. Bezustannie myślałam o moim bracie i siostrze, i o zdumieniu, które ujrzałam w ich twarzach, kiedy umarł ojciec. Myślałam o tym, że ta nasza piątka była bardzo niezdrową rodziną, ale dostrzegłam też, że nasze korzenie wiją się wytrwale wokół naszych serc. Mój mąż powiedział:

– Przecież nawet ich nie lubiłaś.

Wtedy poczułam prawdziwe przerażenie.

Moja książka zebrała pozytywne recenzje i nagle zostałam zmuszona do podróżowania. Wszyscy mówili: „Niesamowite! Taki

sukces z dnia na dzień!”. Wystąpiłam w porannym programie ogólnokrajowej sieci telewizyjnej. Specjalistka od promocji radziła: „Bądź radosna. Jesteś tym, kim pragną być kobiety, które szykują się do pracy, więc idź tam i bądź radosna”. Zawsze ją lubiłam. Miała autorytet. Program był emitowany z Nowego Jorku. Nie czułam tremy, tak jak wszyscy się spodziewali. Strach to dziwna rzecz. Usiadłam w fotelu z wpiętym w klapę mikrofonem, wyjrzałam przez okno, dostrzegłam żółtą taksówkę i pomyślałam: jestem w Nowym Jorku, kocham Nowy Jork, jestem w domu. Ale kiedy odwiedzałam inne miasta, a musiałam to robić, niemal zawsze byłam przerażona. Pokój w hotelu to samotne miejsce. Boże, jakież ono jest samotne.

Działo się to tuż przed tym, jak maile stały się najczęstszą formą pisania listów. Kiedy moja powieść ukazała się na rynku, dostałam mnóstwo przesyłek, w których ludzie pisali mi, jak wiele ta książka dla nich znaczy. Dostałam też list od mojego malarza, który napisał, że powieść bardzo mu się podobała. Odpowiedziałam na wszystkie listy oprócz tego jednego.

Kiedy Chrissie wyjechała na studia, a rok później Becka, pomyślałam – i nie jest to tylko figura słowna, tak było naprawdę – pomyślałam, że umrę. Nie byłam przygotowana na coś takiego. Wtedy przekonałam się co do jednego: niektóre kobiety czują się wtedy, jakby ktoś wyrwał im serce, a dla innych wyjazd dzieci z domu jest doświadczeniem, które je wyzwala. Lekarka, która sprawia, że nie wyglądam jak moja matka, spytała, co zrobiłam, kiedy córki wyjechały na studia.

– Zakończyłam moje małżeństwo – odpowiedziałam. – Ale pani małżeństwo się nie zakończy – dorzuciłam szybko.

– Kto wie, kto wie... – odpowiedziała.

Kiedy odeszłam od Williama, nie przyjęłam pieniędzy, które mi zaoferował ani tych, które prawnie mi się należały. Prawdę mówiąc, nie uważałam, że na nie zasługuję. Zależało mi tylko, żeby córki miały dość pieniędzy. W tym punkcie porozumieliśmy się natychmiast. Czułam się nieswojo z myślą, skąd pochodzą te pieniądze. Wciąż przychodziło mi do głowy słowo „naziści". A co do mnie, nie dbałam o pieniądze. Zarobiłam własne. Który pisarz dobrze zarabia? A jednak zarobiłam je i wciąż je zarabiałam, więc uznałam, że nie potrzebuję pieniędzy Williama. Kiedy piszę: „A co do mnie, nie dbałam o pieniądze", mam na myśli to, że dorastałam, mając bardzo niewiele – jedynie to, co w głowie – i nie potrzebowałam dużo. Ktoś inny wychowany w takich warunkach mógłby chcieć więcej, ale mnie było wszystko jedno, choć przypadek sprawił, że miałam pieniądze, bo poszczęściło mi się w pisaniu. Przypomina mi się matka, która powiedziała w szpitalu, że pieniądze nie przyniosły szczęścia Elvisowi ani Mississippi Mary. Zdaję sobie jednak sprawę, że pieniądze to ważna rzecz w małżeństwie i w życiu. Wiem, że pieniądze to

władza. Bez względu na to, co mówię i co mówią inni, pieniądze to władza.

To nie jest opowieść o moim małżeństwie. Powtarzam, że nie umiałabym go opisać. Czasami myślę o tym, o czym najpierw przekonują się mężowie. Wyszłam za Williama, kiedy miałam dwadzieścia lat. Chciałam mu gotować. Kupiłam czasopismo z wymyślnymi przepisami i kupiłam odpowiednie składniki. Któregoś wieczoru William wszedł do kuchni i spojrzał na patelnię stojącą na kuchni. Po chwili znów tam przyszedł.

– Guziczku, co to jest? – spytał.

– Czosnek – odpowiedziałam.

Wyjaśniłam, że zgodnie z przepisem należy podsmażyć na oliwie ząbek czosnku. William łagodnie wytłumaczył mi, że to główka czosnku, że trzeba ją obrać i odłamać jeden ząbek. Wciąż mam przed oczami tę wielką, nieobraną główkę czosnku zanurzoną w oliwie na patelni.

Kiedy na świat przyszły dziewczynki, zaniechałam eksperymentów z gotowaniem. Umiałam przyrządzić kurczaka i podawałam im od czasu do czasu kukurydzę, ale prawdę mówiąc, jedzenie nigdy nie było dla mnie tak ważne jak dla wielu ludzi w tym mieście. Obecna żona mojego męża uwielbia gotować. To znaczy, byłego męża. Jego żona uwielbia gotować.

Mąż, którego mam teraz, dorastał pod Chicago. Wychowywał się w wielkiej biedzie. Czasami w ich domu było tak zimno, że chodzili w kurtkach. Jego matka wciąż trafiała do zakładów psychiatrycznych. „Była wariatką", twierdzi mój mąż. „Myślę, że nas nie kochała. Pewnie nie umiała". W czwartej klasie zaczął grać na wiolonczeli kolegi i dotąd gra znakomicie. Przez całe dorosłe życie gra zawodowo na wiolonczeli w nowojorskiej filharmonii. Ma bardzo głośny śmiech, potężny.

Smakuje mu wszystko, co ugotuję.

Jest jeszcze jedna rzecz, którą chcę napisać o Williamie. W pierwszych latach małżeństwa zabierał mnie na mecze Jankesów, oczywiście rozgrywane na starym stadionie. Zabierał mnie – a także parę razy dzieci – na mecze Jankesów i byłam zaskoczona, z jaką łatwością wydaje pieniądze na bilety i namawia, żebym kupiła sobie piwo i hot doga, a nie powinnam była się temu dziwić. William był hojny. Teraz wiem, że moje zaskoczenie wynikało z tego, jak ojciec kupił mi kandyzowane jabłko. Wciąż pamiętam, z jakim zachwytem oglądałam te mecze. Kompletnie nie znałam się na baseballu. Drużyna White Sox znaczyła dla mnie niewiele, choć odczuwałam wobec niej coś w rodzaju przywiązania. Po tych meczach kochałam jednak już tylko Jankesów.

Boisko! Pamiętam, jak mnie oszołomiło, pamiętam, jak gracze uderzali piłkę i biegli, jak tarzali się w piachu, a przede wszystkim pamiętam słońce zachodzące za budynkami pobliskiego Bronxu. Słońce chowało się za nimi, a później rozbłyskały światła miasta i było to coś pięknego. Czułam się, jakbym znów przyszła na świat.

Wiele lat później, kiedy już zostawiłam męża, szłam Siedemdziesiątą Drugą Ulicą do East River, w miejsce, gdzie można dojść do samej wody. Spoglądałam w górę rzeki i myślałam o meczach, na które chodziliśmy dawno temu, i miałam poczucie szczęścia, nie tak jak w przypadku innych wspomnień związanych z małżeństwem. Chodzi mi o to, że szczęśliwe wspomnienia raniły mnie. Ale ze wspomnieniami z meczów Jankesów było inaczej; serce mi rosło z miłości do mojego byłego męża i Nowego Jorku i po dziś dzień kibicuję Jankesom, choć wiem, że już nigdy nie pójdę na mecz. To było w innym życiu.

Przypomina mi się Jeremy, jak mi powiedział, że aby być pisarką, muszę być bezwzględna. I przypomina mi się, że nie odwiedziłam brata, siostry ani rodziców, bo wciąż pracowałam nad powieścią i nigdy nie miałam czasu. (Ale też nie chciałam tam jechać). Zawsze było za mało czasu, a później już wiedziałam, że jeśli wytrwam w małżeństwie, to nie napiszę kolejnej książki, takiej jaką chciałabym napisać. Myślę, że brak litości sprowadza się do pochwycenia siebie, do powiedzenia sobie: to jestem ja i nie pojadę tam, gdzie nie znoszę być – do Amgash w Illinois – i nie wytrwam w małżeństwie, jeśli nie będę tego chciała, tylko pochwycę siebie i rzucę się w życie na oślep, ale zawsze przed siebie! Myślę, że to jest ten brak litości.

Matka powiedziała mi w szpitalu, że nie jestem jak moja siostra i brat: „Spójrz na swoje życie. Ruszyłaś przed siebie i... udało się". Może miała na myśli to, że jestem bezwzględna. Może właśnie to miała na myśli, ale właściwie nie wiem, co chciała przez to powiedzieć.

Co tydzień rozmawiam z bratem przez telefon. Mieszka w domu, w którym dorastaliśmy. Tak jak ojciec obsługuje maszyny rolnicze, ale jakoś go nie zwalniają i nie jest narwany jak ojciec. Nigdy nie wspominam w naszych rozmowach o tym, że sypia ze świniami, zanim pójdą na rzeź. Nigdy nie spytałam go, czy wciąż czyta książeczki dla dzieci, te o ludziach z prerii. Nie wiem, czy ma dziewczynę, czy chłopaka. Prawie nic o nim nie wiem. Rozmawia ze mną uprzejmie, choć nigdy nie spytał mnie o dzieci. Ja spytałam jego, czy wie coś o dzieciństwie naszej matki, czy czuła, że jest w niebezpieczeństwie. Odpowiedział, że nie wie. Opowiedziałam mu o jej drzemkach w szpitalu. O nich też nic nie wiedział.

Kiedy rozmawiamy przez telefon, moja siostra jest zła i skarży się na męża. Nie pomaga jej przy sprzątaniu, gotowaniu ani przy dzieciach. Nie opuszcza deski klozetowej. O tym moja siostra wspomina za każdym razem. Twierdzi, że jest s a m o l u b e m . Brakuje jej pieniędzy. Dałam jej trochę i co miesiąc wysyła mi

listę rzeczy, których potrzebują jej dzieci, choć trójka już wyprowadziła się z domu. Na ostatniej liście umieściła „zajęcia z jogi". Zdziwiłam się, że w takim małym miasteczku można ćwiczyć jogę. Zdziwiło mnie też to, że Vicky... a może jej córka... chodzi na takie zajęcia, ale przesyłam jej pieniądze za każdym razem, kiedy dostaję od niej taką listę. W głębi serca nie podobały mi się te ćwiczenia jogi, ale pewnie wydaje jej się, że jestem jej winna te pieniądze, i myślę, że może mieć rację. Czasami myślę o jej mężu. Dlaczego nigdy nie opuszcza deski? „Złość", komentuje moja miła lekarka i wzrusza ramionami.

Moja współlokatorka ze studiów miała matkę, która źle ją traktowała. Więc ta nie bardzo ją lubiła. Którejś jesieni matka przysłała jej ser w paczce. Żadnej z nas nie smakował, ale moja współlokatorka nie potrafiła go wyrzucić ani nawet komuś oddać. „Miałabyś coś przeciwko, jeśli gdzieś go schowamy? W końcu dostałam go od matki". Odpowiedziałam, że ją rozumiem. Położyła ser na parapecie za oknem. Później przykrył go śnieg i obie o nim zapomniałyśmy, ale potem przyszła wiosna. W końcu współlokatorka poprosiła, żebym go wyrzuciła, kiedy ona będzie na zajęciach – i tak zrobiłam.

Teraz coś o Bloomingdale's. Czasami myślę o moim malarzu, bo był dumny z koszuli, którą tam kupił, i przypominam sobie, że uznałam go za płytkiego. Tymczasem chodzę tam z córkami od lat. Mamy nawet swoje ulubione miejsce w barze na szóstym piętrze. Najpierw wjeżdżam tam z córkami i zamawiamy mrożony jogurt, a potem śmiejemy się z naszych brzuchów, że tak okropnie bolą. Potem przechadzamy się bez żadnego planu po dziale z butami i z ubraniami dla młodych kobiet. Niemal zawsze kupuję im to, czego sobie zażyczą. Moje córki są dobre, ostrożne i nigdy mnie nie naciągają. Cudowne dziewczyny. Przez parę lat nie chciały tam ze mną chodzić, bo były zbuntowane. Nigdy nie wybrałam się do Bloomingdale's bez nich. Upłynęło trochę czasu i znów tam zaglądamy, kiedy córki przyjeżdżają do Nowego Jorku. Gdy myślę o malarzu, wspominam go z sympatią i mam nadzieję, że życie dobrze mu się ułożyło.

Bloomingdale's jest pod wieloma względami naszym domem, moim i moich córek.

Bloomingdale's jest naszym domem, ponieważ w każdym mieszkaniu, w którym mieszkałam, odkąd wyprowadziłam się z domu, gdzie dorastały moje dzieci, zawsze dbałam o to, by mieć dodatkową sypialnię, w której mogłyby przenocować, choć jak dotąd żadna z nich z niej nie skorzystała. Kathie Nicely może też tak robiła, ale nigdy się tego nie dowiem. Znam inne matki, których nie odwiedzają dzieci. Nie winię ich za to, tak jak nie winię własnych córek, choć krwawi mi serce. „Nasza macocha", mówią moje córki. Wystarczyłoby powiedzieć „żona ojca", ale one mówią „macocha", albo „macoszka". Chętnie powiedziałabym im: „Nigdy nie myła wam buzi, kiedy leżałam w szpitalu", „nigdy nie czesała wam włosów", „biedactwa, kiedy mnie odwiedziłyście, wyglądałyście jak obdartusy i serce mi się krajało, że nikt o was nie dba!". Nie mówię tego jednak, i słusznie. W końcu to ja porzuciłam ich ojca, choć wtedy wydawało mi się, że tylko od niego odchodzę. Głupie to było myślenie, bo zostawiłam też moje córki i ich dom. Moje myśli stały się moimi własnymi albo takimi, którymi dzieliłam się z innymi osobami niż mój mąż. Łatwo się rozpraszałam, byłam rozproszona.

Wściekłość moich córek w tamtym czasie! Są chwile, które próbuję zapomnieć, ale których nie zapomnę nigdy. Martwię się o to, czego one nigdy nie zapomną.

Moja córka o bardziej miękkim sercu, Becka, powiedziała mi wtedy:

– Mamo, kiedy piszesz powieść, możesz napisać ją od nowa, ale kiedy żyjesz z kimś przez dwadzieścia lat, to też jest powieść, której nie napiszesz już z nikim innym!

Skąd ono to wiedziało, to moje kochane dziecko? Wiedziała o tym, choć była taka młoda. Kiedy to od niej usłyszałam, spojrzałam na nią i odpowiedziałam:

–Masz rację.

Pod koniec lata zdarzył się taki dzień, kiedy znalazłam się w mieszkaniu ich ojca. William był w pracy, a ja przyszłam odwiedzić Beckę, która jak zawsze zatrzymała się u niego. Mój mąż nie ożenił się jeszcze z kobietą, która przyprowadziła dziewczynki do szpitala i nie miała własnych dzieci. Wyszłam do sklepu na rogu – był wczesny ranek – i zobaczyłam w małym telewizorze zawieszonym nad ladą samolot, który wbił się w wieżę World Trade Center. Szybko wróciłam do mieszkania i włączyłam telewizor. Becka usiadła i zaczęła oglądać relację, a ja poszłam do kuchni, żeby zostawić tam rzeczy, które kupiłam. Nagle usłyszałam krzyk Becki. „Mamo!" Kolejny samolot wbił się w drugą wieżę WTC. Kiedy zaalarmowana przybiegłam do pokoju, Becka była wstrząśnięta. Wciąż przypomina mi się ten moment. Myślę, że to był koniec jej dzieciństwa. Śmierć, dym, przerażenie w mieście i w całym kraju, okropne rzeczy, które zdarzyły się na świecie potem. Ale ja myślę tylko o mojej córce tamtego dnia. Nigdy wcześniej ani później tak nie krzyknęła. „Mamo!"

Myślę czasami o Sarah Payne, o tym, że ledwo zdołała wymówić swoje nazwisko tamtego dnia, kiedy poznałam ją w butiku. Nie mam pojęcia, czy nadal mieszka w Nowym Jorku. Nie wydaje żadnych nowych książek. W ogóle nie wiem nic o jej życiu, ale wspominam, jak bardzo była znużona nauczaniem. Myślę też o tym, jak powiedziała, że wszyscy mamy tylko jedną opowieść, a także o tym, że nie wiem, co było i jest jej opowieścią. Podobają mi się jej książki, ale nie mogę oprzeć się wrażeniu, że przed czymś się wzbrania.

Kiedy jestem sama w mieszkaniu, nie często, ale czasami mówię cicho na głos: „Mamo!”. Nie wiem, co to ma być – czy wzywam swoją matkę, czy słyszę krzyk Becki z tamtego dnia, gdy moja córka zobaczyła, jak samolot wbija się w drugą wieżę WTC. Pewnie jedno i drugie.

Ale to moja opowieść.

A jednak jest opowieścią wielu osób – Molli, mojej współlokatorki ze studiów, a może też ślicznych córek państwa Nicely. „Mamusiu!” Mamo!

Ale to moja opowieść. Ta opowieść. Nazywam się Lucy Barton.

Nie tak dawno temu Chrissie powiedziała o moim obecnym mężu: „Kocham go, mamo, ale mam nadzieję, że umrze we śnie, a potem moja macoszka też może umrzeć, a ty i tata znów będziecie razem". Pocałowałam ją w czubek głowy i pomyślałam: Zrobiłam to swojemu dziecku.

Czy rozumiem ból, który odczuwają moje córki? Myślę, że tak, choć one mogą mieć inne zdanie na ten temat. Sądzę jednak, że dobrze znam cierpienie, które dzieci dociskają do piersi, wiem, że trwa całe życie i wywołuje tęsknotę tak wielką, że nawet nie możesz zapłakać. Trzymamy je mocno za każdym razem, kiedy zamiera nam serce: „To moje, to moje, to moje".

Teraz czasami wspominam jesienne słońce zachodzące na farmie za naszym małym domem. Linia horyzontu wokół, jeśli się obróciłaś, słońce zachodzące z tyłu, niebo, które stawało się różowe i delikatne, a potem znów lekko niebieskie, jakby nie mogło obyć się bez swego piękna. Potem ziemia najbliższa zachodzącemu słońcu ciemniała, niemal czerniała na tle pomarańczowej linii horyzontu, ale jeśli się obróciłaś, wciąż pozostawała uchwytna dla oka, taka miękka – parę drzew, ciche, już zaorane pola i migotliwe niebo, które w końcu ogarnia mrok. Jakby dusza mogła się uciszyć na te chwile.

Wszelkie życie mnie zadziwia.

---

[*] Z ang. *nicely* – miło (wszystkie przypisy pochodzą od tłumacza).

[**] Prywatny uniwersytet w dzielnicy Greenwich Village.

[***] Z ang. *seal* – foka. W angielszczyźnie fonetyczne odniesienie do imienia Celia.

PODZIĘKOWANIA

Oto ci, którym autorka pragnie podziękować: Jim Tierney, Zarina Shea, Minna Fyer, Susan Kamil, Molly Friedrich, Lucy Carson, Bogliasco Foundation oraz Benjamin Dreyer.

ELIZABETH STROUT

zdobywczyni nagrody Pulitzera za powieść *Olive Kitteridge*, na podstawie której powstał serial wyprodukowany przez HBO. Napisała też *Nie odstępuj ode mnie* oraz *Amy and Isabelle*. Jej opowiadania publikuje wiele czasopism, w tym „New Yorker". Wkrótce nakładem wydawnictwa ukaże się kolejna powieść autorki *Bracia Burgess*. Elizabeth Strout mieszka w Nowym Jorku.

Mam na imię Lucy

Spis treści

Okładka
Karta tytułowa
Dedykacja
MAM NA IMIĘ LUCY
PODZIĘKOWANIA
ELIZABETH STROUT
Karta redakcyjna

Tytuł oryginału
MY NAME IS LUCY BARTON

Projekt okładki
Greg Mollica

Opracowanie graficzne okładki
Janusz Staszczyk

Zdjęcie na okładce
© Matt Mawson/Getty Images

Redakcja
Jan Wąsiński

Korekta
Redaktornia.com

Copyright © 2016 by Elizabeth Strout
This translation published by arrangement with Random House,
a division of Penguin Random House LLC
All rights reserved
Copyright © for the Polish translation by Bohdan Maliborski, 2016
Copyright © Wielka Litera Sp. z o.o., Warszawa 2016

Wielka Litera Sp. z o.o.
ul. Kosiarzy 37/53
02-953 Warszawa
www.wielkalitera.pl

ISBN 978-83-8032-102-1

Plik ePub przygotowała firma eLib.pl
al. Szucha 8, 00-582 Warszawa
e-mail: kontakt@elib.pl
www.eLib.pl